ZESZYTY HISTORYCZNE OLKUSZA

Numer 19
Olkusz, 2015

ZESZYTY HISTORYCZNE OLKUSZA

Numer 19

Olkusz, 2015

Patronat Honorowy:

1. Starosta Olkuski –inż. Leszek Konarski (2002-2010)
2 Starosta Olkuski – Jerzy Antoni Kwaśniewski (2011-2013)
3. Starosta Olkuski – Barbara Rzońca (2013—2014)
4. Starosta Olkuski – inż. Paweł Piasny (2014- …)
5. Proboszcz Olkuskiej Bazyliki pod wezw. Św. Andrzeja Apostoła w Olkuszu Ks. Prałat Stefan Rogula (1985– 2010)
6 Proboszcz Olkuskiej Bazyliki pod wezw. Św. Andrzeja Apostoła w Olkuszu Ks. Prałat Mieczysław Miarka (2011--…)
7. Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz (2002 – 2006) – dr Andrzej Kallista
8. Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz (2006 – 2014) –mgr Dariusz Rzepka
9. Burmistrz Miasta i Gminy Olkusz --inż. Roman Piaśnik (2015--…)

Zespół redakcyjny:

1. mgr Józef Januszek
2. mgr Barbara Kiszko
3. mgr Maria Kallista
4. mgr Irena Majda
5. prof. dr hab. Kazimierz Kosiniak - Kamysz
6. dr Marek Lasota
7. inż. Eugeniusz Foryś
8. mgr Jerzy Roś
9. mgr Lidia Piątek
10. mgr Jerzy Zembura
11. Antonina Januszek

Okładkę zaprojektowała i wykonała mgr Anna Kajda.
Autorem logo I LO w Olkuszu jest mgr inż. arch. Jan Mateusz Pałka.

Na okładce: Olkusz. Wiosna. Autor: Pan Adam Sowula.

BIBLIOTEKA OLKUSKA

Zeszyty Historyczne Olkusza wydaje Stowarzyszenie „ZŁOTA ARKA" Nauczycieli i Absolwentów I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu.
Adres Redakcji: 32-300 Olkusz, ul. Polna 8, I LO im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu, tel: 504158404.
www.lo1.olkusz.pl/spolecznosc/sza
Autorem strony internetowej jest mgr Artur Trepka.

Numer rachunku bankowego : 29 8450 0005 0050 0555 2432 0001

Wydano ze środków Urzędu Miasta i Gminy Olkusz w ramach Konkursu Inicjatyw Kulturalnych.

Wydawca: Zakład Usług Poligraficznych W.Dela, ul. K.K.Wielkiego 82, 32-300 Olkusz, tel. 32 643 01 93

ISBN: 978-83-930579-2-4
Olkusz, 2015 r.

Spis treści:

I. Od Redakcji. Artykuł wstępny.

II. Wspomnienie o Annie Piątek – poetce, malarce…
Zebrała *mgr Barbara Kiszko.*

III. Stefan Ząbczyński - Pierwszy Honorowy Obywatel Miasta Olkusza
- Michał Jezierski

IV. Wspomnienie o Leonii Ogrodzkiej (1901 – 1973) – sekretarce „Liceum" (1931 – 1939) z przerwą okupacyjną i w latach (1945 – 1972).
Przyjaciółka – *mgr Zofia Krokosz.*

V. Moje drogi, zdroża i wojaże.
- Bogumił Bigaj.

I. Od Redakcji. Artykuł wstępny.

Wyobraźnia jest ważniejsza niż wiedza.
Nasza wiedza jest zawsze ograniczona,
podczas gdy wyobraźnią ogarniamy cały świat".
A.Einstein

Odeszła od nas Ania Piątek. Zasmuciła nie tylko najbliższych, ale także tych, którzy kochają poezję.

….Smuci się i płacze świat, kiedy umierają poeci….

W tomiku „W gałęziach coraz więcej światła" – Ania napisała dedykację:

– Moim dzieciom –

„Moja poezja to podróż po ogrodach wyobraźni"

Słowem i pędzlem malowała kolorowy świat – pokazując jaki jest cudowny, a intuicją, wrażliwością i wyobraźnią tak po prostu dotykała najgłębszych zakamarków naszej duszy. W Jej strofach pełnych światła, delikatności, subtelności każdy z nas odnajdzie własną radość, rozpacz, rozterki, ból, nadzieję…., człowieczy los.

W przygotowanym Zeszycie przedstawiamy Państwu również panią Leonię Ogrodzką – sekretarkę I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu, jedną z pierwszych absolwentek (1932 – 1939) gimnazjum żeńskiego. Po jego ukończeniu została sekretarką, prowadziła także księgowość, a przez całą wojnę i okupację przechowywała dokumentację szkoły.

Kolejny artykuł to wspomnienie o Stefanie Ząbczyńskim – społeczniku, Honorowym Obywatelu Miasta Olkusza, twórcy m.in. Muzeum Pożarnictwa.

Jesteśmy pewni, że zainteresuje Państwa artykuł pana Bogumiła Bigaja, absolwenta I Liceum Ogólnokształcącego w Olkuszu i wychowanka profesora Józefa Januszka, o bardzo licznej, ale jakże wspaniałej, kochającej się Rodzinie. Ma dziesięcioro rodzeństwa i z ogromną miłością i dumą opisuje ich losy, osiągnięcia. To pierwsza część wspaniałych wspomnień pod znamiennym tytułem „Moje drogi, zdroża i wojaże. Wstęp, czyli moja droga … Rodzinka".

Serdecznie zapraszamy do lektury, a z okazji zbliżających się wakacji życzymy słonecznych dni, miłego wypoczynku, ciekawych podróży i szczęśliwych powrotów do domu, do naszego Olkusza.

Redakcja.

II. Anna Piątek
Wspomnienia o Annie Piątek - poetce i malarce …

zebrała mgr Barbara Kiszko

Anna Piątek
1935 – 2015
Poetka, malarka, członek Związku Literatów Polskich,
Honorowy Prezes Klubu Literackiego przy MOK w Olkuszu,
Laureatka Olkuskiej Nagrody Artystycznej,
żona, matka dwóch synów, babcia.

- Urodziła się 6 lutego 1935 roku w Połańcu.
- Z Olkuszem związana „od zawsze”
- Debiutowała jako poetka w 1982 roku w konkursie literackim ogłoszonym przez miesięcznik „Przyroda Polska”.
- Jej wiersze były wielokrotnie nagradzane i wyróżniane w konkursach regionalnych, ogólnopolskich jak i międzynarodowym.
- Opublikowała pięć tomików wierszy:
  - „W gałązce dłoni” – Kraków 1990
  - „Noc po kryjomu” – Katowice 1991
  - „Maluję świat niedobranym kolorem” – 1995
  - „W gałęziach coraz więcej światła” - Olkusz 2006
  - „Prywatny konfesjonał” – Olkusz 2013

  i dwa opowiadania
  - „Obrazki z życia wzięte” oraz „Dniówka w PRL-u” – Kwartalnik Powiatu Olkuskiego nr 3 (11), lipiec – sierpień 2014.
- Jej wiersze znaleźć można w wielu antologiach, wydaniach zbiorowych, w pokonkursowych zbiorach poetyckich.
- Była członkiem Związku Literatów Polskich Oddział w Radomiu od 2003 roku.
- Za zasługi w dziedzinie literatury została uhonorowana wpisem do VII wydania leksykonu biograficznego „Who is Who w Polsce” w 2007 roku.
- W 2000 roku otrzymała Nagrodę Specjalną przyznaną przez Burmistrza Miasta i Gminy Olkusz za całokształt twórczości.
- Jest Laureatką Olkuskiej Nagrody Artystycznej przyznanej przez Burmistrza Miasta i Gminy Olkusz w 2007 roku.
- Była członkiem Towarzystwa Kultury Teatralnej oddziału okręgowego w Olkuszu.
- Przyznano jej tytuł Honorowego Prezesa Klubu Literackiego przy MOK w Olkuszu.
- Przez wiele lat była członkiem zespołu redakcyjnego tygodnika rodzin katolickich „Pokój Wam”.
- Systematycznie współpracowała z młodzieżą olkuskich szkół.
- Organizowała spotkania poetyckie i indywidualne wystawy malarstwa (kompozycje kwiatowe w technice olejnej, pasteli i akwareli).
- Benefis pani Anny Piątek zorganizowany przez TKT w Olkuszu odbył się w 2006 roku. Był prezentacją jej dorobku artystycznego.

Odeszła cichutko, nie robiąc nikomu kłopotu, 19 stycznia 2015 roku.

LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA
CARTE D'ADHÉRENT
Nr 337/„K"

Podpis
Signature Anna Piątek

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
UNION DES GENS DE LETTRES POLONAIS

Okaziciel niniejszego
Le porteur de la présente
ANNA PIĄTEK

ur
né 6.02.1935 R

w
à POŁANIEC

jest członkiem Związku Literatów Polskich
est membre de l'Union des Gens de Lettres Polonais

Prezes
Le Président

Sekretarz
Le Secrétaire

Warszawa 4.11.2003 r
Varsovie

LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA
CARTE D'ADHÉRENT
Nr 1450

Podpis
Signature Anna Piątek

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
UNION DES GENS DE LETTRES POLONAIS

Okaziciel niniejszego
Le porteur de la présente

Ob.
M. ANNA PIĄTEK

ur.
né 6. 11. 1935 R

w
à POŁANIEC

jest członkiem Związku Literatów Polskich

est membre de l'Union des Gens de Lettres Polonais

Prezes
Le Président

Sekretarz
Le Secrétaire

Warszawa 15.XI.2007
Varsovie

WW
WHO IS WHO
Certificate of Award
THIS CERTIFIES THAT
The International Business Who is Who Corp., Panama
i Who is Who, Verlag für Personenenzyklopädien AG, Szwajcaria
potwierdzają, że Pani
Anna Piątek
została wpisana do encyklopedii
WHO IS WHO W POLSCE
Leksykon ten zawiera zbiór biografii
osobistości ze wszystkich dziedzin życia publicznego:
gospodarki, polityki, nauki, kultury i sztuki.
30.07.2007
Data
Ralph Hübner
(Założyciel i Prezes Who is Who, Verlag für
Personenenzyklopädien AG, Zug/Szwajcaria)

Arkusz korekty biogramu publikowanego bezpłatnie w leksykonie biograficznym

Who is Who w Polsce

Suplement, wydanie VII (termin ukazania się: 05/2008)

Dziękujemy za udzielenie nam wywiadu. Prosimy o przejrzenie wstępnie zredagowanego tekstu, uzupełnienie brakujących informacji i korektę ewentualnych błędów.

Zredagowano: 30.07.2007

Prosimy o naniesienie Państwa poprawek (pismem drukowanym):

36706353

Piątek Anna

Z.: poetka, malarka, honorowy prezes. NF.: Klub Literacki MOK w Olkuszu. DZ.: członek redakcji tygodnika rodzin katolickich "Pokój wam", systematyczna współpraca z młodzieżą ze szkół w Olkuszu, organizatorka spotkań poetyckich i wystaw malarstwa na Śląsku. DU.: Połaniec, 06.02.1935. M.: Jan. D.: Zbigniew, Marek. R.: Czesław i Maria. K.: autorka wierszy, malarka, swoją twórczość artystyczną rozpoczęła na emeryturze. SO.: laureatka licznych konkursów poetyckich (ogólnopolskich i jednego międzynarodowego), indywidualne wystawy malarstwa (kompozycje kwiatowe w technice olejnej, pasteli i akwareli). P.: 4 tomiki wierszy ilustrowanych własnymi pastelami: "Gałązce dłoni", "Noc po kryjomu", "Maluję świat niedobranym kolorem", "W gałęziach coraz więcej światła". ON.: Nagroda Burmistrza Miasta Olkusza za całokształt pracy twórczej. Cz.: Związek Literatów Polskich (od 2003). H.: poezja, malarstwo, żywe kwiaty, ogród. ■

wystawiono dnia 27.8.2007

Who is Who Gesellschaft für biographische Forschung WIEN

ważna do 8/2008

przedłużono do dnia .....

przedłużono do dnia .....

przedłużono do dnia .....

LEGITYMACJA

Who is Who Gesellschaft
für biographische Forschung
1150 Wien, Storchengasse 1

miejsce na zdjęcie

36706353
Legitymacja nr.

Anna Piątek
Imię i nazwisko

PL-32-300 Olkusz
al. Tysiąclecia 3/16
Adres

Połaniec, 06.02.1935

Życzeniem *Who is Who Gesellschaft für biographische Forschung* jest uhonorowanie wybitnych zasług przedstawicieli wszystkich dziedzin życia. Odbywa się to poprzez publikację biografii i wręczenie insygniów *Who is Who*. W ten sposób zachęcamy również i wzmacniamy społeczeństwo we wspólnym działaniu na rzecz rozwoju i pomyślności kraju.

Posiadacz niniejszej legitymacji jest członkiem nadzwyczajnym Towarzystwa badań biograficznych *Who is Who* z siedzibą w Wiedniu. Działalność Towarzystwa obejmuje wszystkie kraje świata.

Posiadacz niniejszej legitymacji jest uprawniony do noszenia insygniów *Who is Who* zgodnie z rejestrem ZVR: 346 892 533 Komendy Głównej Policji w Wiedniu.
Insygnia są własnością Towarzystwa. Wraz z ustaniem członkostwa wygasa prawo do ich noszenia, a insygnia należy zwrócić Towarzystwu.

Nagroda Specjalna

za całokształt
twórczości

dla Anny Piątek

DYREKTOR

mgr Grażyna Praszelik-Kocjan

Burmistrz Miasta i Gminy
Janusz Dudkiewicz

Olkusz 10 listopada 2000

DYPLOM

otrzymuje

Anna Piątek

za I nagrodę w XVII edycji
Ogólnopolskiego Konkursu pt.
„Nasze Wspólne Sprawy
wczoraj – dziś – jutro"

Organizator:
Radomskie Stowarzyszenie
Twórców Kultury

RADOMSKIE STOWARZYSZENIE TWÓRCÓW KULTURY

Jury:
Jadwiga Góźdź
Bogusława Sołśnia
Jacek Kowalczewski

Radom, dn. 28 listopada 2003r

WOJEWÓDZKI OŚRODEK KULTURY

ADRES:

33-100 Tarnów,
Rynek 16

Telefony:

DYREKTOR
21-34-50

SEKRETARIAT
21-34-50

CENTRALA
21-00-92

ZESPÓŁ
PRACOWNI
SPECJALIS-
TYCZNYCH
22-09-64

TELEX
066274

NASZE
KONTO
NBP
O/W Tarnów
Nr 85007-2219

Pani
Anna PIĄTEK

"Świat wyobraźni
jest światem wieczności"
- William Blake -

Gratuluję Pani zdobycia I Nagrody w IV edycji Ogólnopolskiego Konkursu Jednego Wiersza o "LAUR STARÓWKI".

Pani twórczość jest świadectwem talentu, wrażliwości i dojrzałości artystycznej.

Dziękując za udział w Konkursie życzę Pani dalszych sukcesów twórczych, wielu poetyckich laurów oraz pomyślności w życiu osobistym.

Z pozdrowieniem

WOJEWÓDZKI OŚRODEK KULTURY w Tarnowie

DYREKTOR
Wojewódzkiego Ośrodka Kultury
mgr Stanisław Lis

Tarnów 15 grudnia 1990 r.

DN-16 774-88 5000

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Hugona Kołłątaja
w Dąbrowie Górniczej

Dyplom

dla

Anny Piątek

za zajęcie I miejsca
w Konkursie Jednego Wiersza

Dąbrowa Górnicza, 26 lutego 1998 r.

Konkurs Jednego Wiersza

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Hugona Kołłątaja
w Dąbrowie Górniczej

Dyplom

dla

Pani Anny Piątek

za zajęcie I miejsca
w Konkursie Jednego Wiersza

Dąbrowa Górnicza, 1 października 1998 roku.

DYPLOM

Dla Anny Piątek

za zajęcie

II miejsca

w konkursie literackim

podczas:

V Jesieni Poetyckich

Skład jury:

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY
w Sławkowie
Dział Upowszechnienia Kultury

Sławków, 89'10.26

Olkusz, 27 marca 2012 r.

Szanowna Pani
Anna Piątek

Zarząd Oddziału Okręgowego Towarzystwa Kultury Teatralnej
składa serdeczne gratulacje z okazji uhonorowania
Pani Statuetką Teatralną 2012.

To zaszczytne wyróżnienie przyznaliśmy za całokształt twórczości artystycznej, a zwłaszcza za poezję, która pokazuje piękno w okruchach rzeczywistości i skłania
do refleksyjnej zadumy nad wartościami.

Dziękujemy za piękne, mądre wiersze i kwiaty sercem malowane.

Dziękujemy za mądre rady, uczące trudnej sztuki życia jak choćby
ta z wiersza „W nurtach szarości":
„Wystarczy uśmiech, by posklejać niebo
Pozwolić gwiazdom przedłużyć spojrzenie
By w rajską ciszę upadły uległą
I w jedną radość połączyły cienie"

Mamy nadzieję, że nasza przyjaźń i współpraca będą się nadal owocnie rozwijać, bo łączy nas szacunek dla Słowa Pięknego i Prawdziwego.

W nowym Roku Teatralnym życzymy dużo zdrowia oraz wielu sukcesów we wszystkich działaniach artystycznych.

Bez hałasu

Poeci odchodzą cicho, bezszelestnie, w kapciach,
żeby nie zburzyć „porządku świata".

Tylko ziemia przyjmuje ich ochotnie.

Potem kołyszą się wzdłuż torów kolejowych,
na łodygach mleczy i ostów,
z przypiętymi skrzydłami wierszy.

Ciepły wiatr z południa
uniesie ich nad głóg, nad sosnę,
nad chmurę ze złotym obrzeżem,
nad błękit...

Zostanie poezja, jak rozsypane prochy
na białych kartkach.

Pogrążona w smutku Rodzino,
Drodzy Przyjaciele Pani Anny Piątek,
Szanowni Państwo,

Z potrzeby serca i wielkiej wdzięczności chcę zwrócić się dziś po raz ostatni do pani Ani w imieniu tych wszystkich, których śmierć artystki głęboko dotknęła. Chcę mówić w imieniu Jej Przyjaciół, którym była bliska jako poetka i jako człowiek o szlachetnym, złotym sercu.

Aniu, stoimy tu dziś u Twojej trumny ze świadomością bolesnej straty dla naszego miasta.

Byłaś bowiem artystką, która stworzyła wiele pięknych i wzruszających wierszy. Opublikowałaś je w pięciu tomikach, różnych czasopismach, almanachach i antologiach. W swojej poezji utrwaliłaś olkuskie pejzaże, kwiaty, stare dworki, religijne wzruszenia, radości i troski kochającej żony, mamy i babci… Twoja twórczość zapewniła Ci miejsce w Związku Literatów Polskich. Jako artystka próbowałaś także swoich sił w malarstwie, tworząc w jesieni życia barwne bukiety i nastrojowe krajobrazy. Żyłaś dla ludzi i spełniałaś się przez ludzi: w Stowarzyszeniu Wszyscy dla Wszystkich, Klubie Literackim Miejskiego Ośrodka Kultury, w Towarzystwie Kultury Teatralnej, Redakcji Pokój Wam, w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej, w Klubie Zielone Światło i olkuskich szkołach… Byłaś wszędzie. Umiałaś przyjaźnić się z ludźmi i radować ich obecnością… Dlatego tak mocno przeżywaliśmy wszystkie Twoje sukcesy. Jako bliscy przyjaciele cieszyliśmy się z Nagrody Artystycznej, którą otrzymałaś z rąk Pana Burmistrza w roku 2007. Radowaliśmy się edycjami kolejnych tomików, wieczorami poetyckimi, wernisażem malarstwa, Statuetką Teatralną. Cieszyliśmy się z naszych prywatnych spotkań.

„Aniu, szepcę do Ciebie cichutko…" Odeszłaś tak niepostrzeżenie, iż nie potrafimy oswoić się z myślą, że stało się to już…

Bo chociaż przeżywaliśmy Twoją walkę z chorobą, to wierzyliśmy, że kolejny raz się podniesiesz. Napiszesz wiersz, dokończysz opowiadanie, będziesz nadal promieniować dobrocią i wewnętrznym pięknem… Jednak Bóg uznał, że „cząstka Twojej pracy została już wykonana".

Odchodzisz w coraz dalsze przestrzenie, zabierając ze sobą miłość rodziny
i przyjaciół. W jednym ze swoich późnych liryków, zatytułowanym „Złotą kreską", zastanawiałaś się, co będzie:

„Gdy raj otworzy swoje bramy"
„Czy te same kwitnąć będą kwiaty
I zerwę białe tulipany" ?
Wyrażałaś też w tym wierszu pragnienie, by
„na dobranoc
Życie podkreślić złotą kreską".

Jesteśmy przekonani, że tak się stało. Twoja sztuka jest ukoronowaniem Twojego życia. Wierzymy, że Miłosierny Bóg i Matka Boska Srebrzysta, którą opiewałaś w swojej poezji, przygotowali dla Ciebie wszystko, o czym marzyłaś. Bo Twoje marzenia były dobre jak Ty sama! I jeszcze na koniec chcemy powiedzieć Dziękujemy Ci, Aniu:

„Za wszystko to, co było mądre, dobre i piękne, a co dzięki Tobie stało się naszym udziałem".

I choć nam ciężko, musimy pogodzić się z mądrością śmierci po długim i dobrze przeżytym życiu, bo – jak powiedział Twój ulubiony poeta – ksiądz – Jan Twardowski:

„Gdyby śmierci nie było, nikt z nas by już nie żył. Przemijamy jak wszystko, by w ten sposób trwać".

Żegnaj, Kochana Aniu. Do zobaczenia kiedyś, gdy i nasze ludzkie losy się dopełnią…

(Mowa na pogrzeb Ani Piątek w dniu 21.01.2015 r godz. 13)

Przygotowała i wygłosiła Grażyna Wącław.

To Ona, Anna Piątek – poetka.
Na dźwięk dzwonka do drzwi z uśmiechem
je otwiera i zaprasza do środka.

Z prawdziwą dumą i radością prowadzi na mały balkonik w środku pakuskowego osiedla, na którym dojrzewa pomarańcza, kwitnie mięta i fioletowy wrzos.

Za oknem jesienne barwy przypominające o zbliżającej się porze roku.

We wnętrzu tego przytuliska, w bujanym fotelu, Ania
– wśród swoich tomików poezji i ulubionych książek, albumów, antologii.

Z dumą opowiada o swoich zdobytych nagrodach, wyróżnieniach.

Zakochana w różnorodnych bibelotach, pamiątkach zbieranych przez całe życie z sentymentem i tęsknotą.

Bez pośpiechu, chaosu, w ciszy spogląda przez ulubione okno lub siedząc w fotelu oddaje się wspomnieniom i zadumie.

Wspominała: Renia Włodarczyk

Mała kobieta
o wielkim sercu
w styczniową noc
odeszła na zawsze – cicho
jak cicho żyła.

Pożegnała się z tym światem
zostawiając kolory w obrazach
pełnych kwiatów
i poezji przepełnionej
radością, tęsknotami, bólem
i marzeniami.

Żegnam Cię moja Aniu
w przekonaniu, że pozostaniesz
w sercach wiernych Ci przyjaciół
na zawsze

……a ja pamięć o tobie malować będę ciepłą strofą wiersza……

Irena Włodarczyk
(dedykacja pośmiertna – 19.01.2015)

Annę Piątek zapamiętam jako osobę równie ciepłą i skromną jak jej wiersze. Pamiętam ją z licznych spotkań autorskich – szczególnie tego ostatniego, które odbyło się niecały rok temu. 7 lutego 2014 roku, na wieczorze autorskim w olkuskim Osiedlowym Klubie Przyjaźń, Anna Piątek praktycznie podsumowała swoją drogę twórczą. Nade wszystko jednak wspominam teraz prywatne spotkania. Miałem bowiem szczęście gościć kilkakrotnie w domu poetki, gdzie przy herbacie i pysznych ciastkach godzinami rozmawialiśmy o literaturze. Była zawsze – mimo postępującej choroby – pogodna, optymistycznie nastawiona do życia, bardzo przyjacielska. Tak trudno teraz uwierzyć, że na tym świecie już z nią nie porozmawiam…

Jarosław Nowosad
(strona internetowa Starostwa Powiatowego w Olkuszu)

„Wspomnienia tworzą w duszy najpiękniejsze obrazy..."
Świętej Pamięci Ani Piątek

Patrzę na fotografię Ani, z której radośnie, ciepło uśmiecha się do mnie... Na odwrocie dedykacja: *„Wystarczy spojrzeć, by przywołać wspomnienie. Mojej serdecznej przyjaciółce Grażynce Wącław – Ania Piątek. Olkusz, 26 września 2014 r."*. Postawiłam to zdjęcie na biurku, bo w ten sposób Ania jest bardziej obecna. Wpatruję się weń i wspominam najserdeczniej wybitną poetkę i szlachetnego człowieka.

Początki mojej znajomości z Anią sięgają połowy lat 90-tych i są związane z pracą nauczycielską. Poznałam ją na wieczorze literackim. Długo była dla mnie panią Anią... Dzieliło nas przecież prawie całe pokolenie. Usilnie jednak pracowała nade mną, abym zwracała się do niej po prostu Aniu. I tak się stało po upływie jakiegoś czasu. Było to możliwe dzięki temu, że widywałyśmy się często na spotkaniach poetyckich. Jestem bowiem wielbicielką jej mądrej, wzruszającej poezji, w której każde słowo jest wysmakowane, starannie przemyślane i dobrane. Myślę, iż jej dojrzałość poetycka wynika także z faktu, że wiersze zaczęła tworzyć późno – dopiero po 40 roku życia. I być może dlatego nieomal od razu były one głęboko refleksyjne. Początkowo publikowała je w wielu czasopismach i almana-

chach Klubu Literackiego MOK-u, z upływem czasu znalazły się w licznych antologiach i kolejnych pięciu autorskich tomikach poetyckich. Poezja zapewniła jej od 2003 r. miejsce w Związku Literatów Polskich. Za swoją sztukę była wielokrotnie doceniana. W 2007 r. odebrała z rąk Burmistrza Miasta Olkuską Nagrodą Artystyczną.

Pamiętam jak dziś benefis Ani Piątek, zorganizowany przez Towarzystwo Kultury Teatralnej w olkuskiej kawiarni „Gwarek" w roku 2006 dla uczczenia dorobku artystki oraz promocji jej nowego tomiku *„W gałęziach coraz więcej światła"*. Przybyło tylu znakomitych gości... Byli przedstawiciele władz miejskich i oświatowych, poeci, osobistości ze świata kultury, przyjaciele Ani. Program wspaniale poprowadziła, dziś już także Świętej Pamięci, Jola Skawińska. Ania wyglądała tak młodo... I powiedziała mi, że tak właśnie w duchu się czuje. Była bardzo szczęśliwa, ponieważ jej poezja podobała się uczestnikom spotkania, skłaniała do przemyśleń, wyzwoliła potrzebę dyskutowania. W imieniu TKT dziękowałam Ani za mądre rady, uczące trudnej sztuki życia jak choćby ta z wiersza „W nurtach szarości":

„Wystarczy uśmiech, by posklejać niebo,
Pozwolić gwiazdom przedłużyć spojrzenie,
By w rajską ciszę upadły uległą
I w jedną radość połączyły cienie".

Niedługo potem zostałam zaproszona do pomocy przy przygotowaniu wernisażu wystawy malarstwa Ani Piątek w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej. Okazało się bowiem, że w jesieni życia Ania maluje coraz więcej pasteli i obrazów olejnych. Z sentymentem wspominam spotkanie w przytulnym, ożywionym artystycznym duchem mieszkaniu poetki. Wyboru obrazów dokonały wspólnie z artystką Ania Kajda, Basia Orkisz, Jola Skawińska, Olga Śladowska i Mira Drapacz. Ja przygotowałam wystąpienie na temat *„Poezja pędzla i pióra"*, które wygłosiłam 24 września 2007 r. podczas wernisażu. W tym miejscu pragnę przypomnieć Anię jako artystkę malarkę. Zaprezentowane podczas wernisażu obrazy wyraźnie unaoczniły widzom, że w twórczości plastycznej poetki dominują motywy kwiatowe, tak charakterystyczne dla jej liryki. Kwietne obrazy nie są jednak fotografiami rzeczywistości – sama Ania powiedziała mi kiedyś: *„Moje obrazy to portrety wyobraźni"*. Malowała więc głównie z wyobraźni, a jej wyobraźnia – i tu znów pozwolę sobie znów zacytować artystkę: *„Ze światła wybiera najpiękniejsze kolory"*. Barwne bukiety, namalowane na płótnie i desce, wyrażają przede wszystkim uczuciowość malarki, jej stosunek do świata i ogromną wrażliwość na kolory. Kwiaty kojarzą się z przeżywanymi przez nią emocjami i subiektywnymi doznaniami np. w wierszu *„Kwitnąca świeca trwania"* Ania napisała:

„w róży – miłość płonie
lilia – skromność znaczy
irys – zamyślenie
a ja kocham konwalie
gdy płaczą wspomnieniem".

W dorobku malarskim artystki są też wiosenne i zimowe pejzaże. Krajobrazy wiosenne, malowane ciepłą gamą kolorów, budzą nastroje optymistyczne i radość życia. Podobnie jak w wierszu *„Wiosna"*, gdzie poetka napisała :

„Zieleń do stóp się kłania
Zakwitły tulipany
Wiatr smutki porozganiał (…)
W ogrodzie pełnym słońca
Radosną ciszę zbieram".

Natomiast plastyczne ujęcie krajobrazu zimowego tchnie zadumą i tęsknotą. Z takim spojrzeniem koresponduje nastrój w wierszu *„Urodziny”*, którego fragment również pragnę przytoczyć:

„Niebo oparte o biały widnokrąg
Za oknem pejzaż w kolorowej szadzi
Wiatr pobrzękuje wiolonczelą ciszy
I żal ukryty na mej twarzy gładzi”.

Konkludując, można stwierdzić, że malarstwo Ani jest przesycone nutką poezji. Wyrosło z poetyckiej wizji świata oraz z dobroci jej serca. Obrazy Ani odsłaniają jej wewnętrzne przeżycia. Wieloma z nich ozdobili ściany swoich domów przyjaciele poetki.

Snując wspomnienia, chcę też powiedzieć, że Ania bardzo ceniła sobie współpracę ze szkołami. Kochała młodzież i cieszyła się, że jej sztuka zdobywa uznanie także wśród młodych uczestników życia kulturalnego. Była wzruszona, kiedy zaproponowaliśmy jej, aby 1 kwietnia 2008 r. przybyła na Konkurs Regionalistyczny *„Mnie ta ziemia od innych droższa...”*, organizowany dla młodzieży gimnazjów i szkół podstawowych Powiatu Olkuskiego. Zadaniem uczestników konkursu było przełożyć zawarte w wierszach obrazy przyrody, toposy religijne i regionalne pejzaże na wizje plastyczne. Młodzież namalowała wtedy wiele ciekawych i oryginalnych prac, wyrastających z ducha tej poezji. Była to twórczość inspirowana lirykami *„Kwitnąca świeca trwania”*, *„Matce Boskiej Olkuskiej”* i *„Dworek Machnickich”*. W tym miejscu pragnę podkreślić, że poezja i malarstwo Ani wyzwalały w młodych ludziach różne inicjatywy – przeprowadzali z nią wywiady, kręcili amatorskie filmy, pisali prace na konkursy literackie. Ania była bowiem powszechnie lubiana. Nie zdziwiłam się więc, gdy na jej pogrzebie zobaczyłam dawne uczennice, a wśród nich Sylwię, która przed laty pisała o Ani próbę eseju na *Bolesławską Zimę Prozy 2009*.

Życie Ani w ostatnich latach naznaczone było nieustanną walką z ciężką chorobą. A mimo to potrafiła cieszyć się sztuką i chciała być wśród ludzi. Pamiętam, jaką radość sprawiła jej Statuetka Teatralna, którą otrzymała od TKT w roku 2012 podczas gali z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru. W liście gratulacyjnym od Zarządu można przeczytać słowa:

„To zaszczytne wyróżnienie przyznaliśmy Pani za całokształt twórczości artystycznej, a zwłaszcza za poezję, która pokazuje piękno w okruchach rzeczywistości i skłania do refleksyjnej zadumy nad wartościami. Dziękujemy za piękne, mądre wiersze i kwiaty sercem malowane (…) Mamy nadzieję, że nasza przyjaźń i współpraca będą się nadal owocnie rozwijać, bo łączy nas szacunek dla Słowa Pięknego i Prawdziwego”.

Odwiedzałam Ją coraz częściej. Dużo czasu spędziłyśmy razem, projektując wieczornicę poetycką *„Moja jesień natchniona pegazem wciąż dojrzewa...”* w Stowarzyszeniu „Wszyscy dla Wszystkich”. W przygotowanie wieczoru włączyli się dorośli przyjaciele Ani i młodzież. Chcieliśmy pokazać Anię w sposób wielowymiarowy – jako poetkę, człowieka z konkretną biografią i osobę pełniącą różne role życiowe. Było słowo, recytacje wierszy, poezja śpiewana, muzyka i slajdy... Dzień 7 lutego 2014 r. zapisał się bardzo dobrze w pamięci Ani. Rozpromieniona przyjmowała gratulacje i kwiaty... Zapomniała, że jest chora. Jej radość i zadowolenie sprawiły nam satysfakcję.

Moja przyjaźń z Anią stale się pogłębiała. Miło było słyszeć: -„Kiedy przyjdziesz? Jesteś mi potrzebna”. - Widziałam, jak dzielnie walczy z postępującą chorobą, słabością i cierpieniem. Jak bardzo stara się nie poddawać i wypełniać zalecenia lekarzy. Chciała żyć, miała jeszcze tyle do powiedzenia... Kiedyś wyciągnęła z szuflady luźne kartki starych zapisków, także pożółkłe maszynopisy, i powiedziała mi, że pragnie spróbować swoich sił w prozie. Zwierzyła mi się też, że literacka Marta, która pojawia się na tych stronicach, to właściwie ona sama. Myślę, że prace redakcyjno-korekcyjne nad tymi tekstami zbliżyły nas do siebie jeszcze bardziej. Bywało, że prosiła mnie, aby wybrać się z nią na spotkanie do Klubu Literackiego, to znów na galę z okazji wręczenia Olkuskiej Nagrody Artystycznej, a kiedy indziej na uroczystość Jubileuszu 60-lecia MOK-u w Olkuszu. Wspominam te wydarzenia, ponieważ charakteryzują osobowość Ani – jej pragnienie angażowania się do końca w życie kulturalne, silną

wolę, by przezwyciężać trudności i nie poddawać się łatwo. Zaniepokoiłam się mocno gdzieś w połowie stycznia ... Wcześniej planowałyśmy pójść razem na Jubileusz 10-lecia Stowarzyszenia „Wszyscy dla Wszystkich", który wyznaczono na 17 stycznia. Zatelefonowałam więc do Ani, aby omówić szczegóły związane z wyjściem. Ania oświadczyła, że tym razem na pewno wie, że nigdzie nie pójdzie, bo bardzo źle się czuje. Pocieszałam ją... i obiecałam szybko odwiedzić. Nie zdążyłam... 19 stycznia rano dostałam wiadomość, że nie żyje. Odeszła cichutko, niepostrzeżenie... Płakałam i zastanawiałam się, czy olkuski poeta, pan Jacek Majcherkiewicz, nie miał proroczego przeczucia śmierci Ani... Nieco wcześniej bowiem napisał wiersz *„Bez hałasu",* w którym wyraził refleksję, że

„Poeci odchodzą cicho, bezszelestnie, w kapciach,
żeby nie zburzyć „porządku świata".

Może warto wierzyć mu także, że – jak napisał w tym samym utworze –

„Ciepły wiatr z południa
uniesie ich nad głóg, nad sosnę,
nad chmurę ze złotym obrzeżem,
nad błękit..."

A dalej... Dalej co będzie... ? Dalej jest to, co przeczuwała Ania i czemu dawała wielokrotnie wyraz w swojej poezji

„przebrana w pokorę, zapatrzona w światło
idę nieśmiało w Twoją stronę Panie
dobrze że Jesteś
mam przed kim uklęknąć
i pochylić głowę"

Aniu,
choć odeszłaś do lepszego świata,
często mam wrażenie, że jesteś z nami.
Dla przyjaciół kochających Ciebie i twoje wiersze
odeszłaś za wcześnie!
Dziękuję Ci, że byłaś

Grażyna Wącław

O twórczości pani Anny Piątek pisała, we wstępie do jej tomiku wierszy „W gałęziach coraz więcej światła" polonistka, **pani Maria Wilk.**

Oto fragmenty:

….. Pisać, jak sama wyznaje zaczęła dość późno; wtedy, gdy obowiązki rodzinne przestały być najważniejsze, przyszedł czas na pisanie. I może dlatego ta poezja jest taka pełna, taka dojrzała, jest w niej nasycenie i spełnienie, ale też świadomość własnych słabości i obaw.

Znaleźć tu można zadumę nad życiem, w której autorka daje dowody swojej wrażliwości w kategoriach metafizycznych.

Gdyby zapytać krytyków literackich, jak określiliby charakter twórczości pani Anny Piątek, to zapewne odpowiedzieliby, że jest to poezja refleksyjna, a może dodaliby nawet – filozoficzna, zrodzona z zadumy nad życiem, przemijaniem, śmiercią. Być może dorzuciliby, że wiersze pani Anny Piątek są pamiętnikiem artystki, w którym rejestruje ona swoje niepokoje, wzruszenia, radości i smutki.

Twórczość pani Piątek jest w istocie notatnikiem, zapisem przeżyć osobistych autorki. Można za-

ryzykować stwierdzenie, że wiersze jej mają charakter intymny, bowiem autorka zawierza utworom wszystkie bóle, tęsknoty i marzenia, które nierzadko skrzętnie ukrywa pod osłoną niełatwej do zinterpretowania metafory.

Wiersze jej posiadają jedną cechę wspólną: są niezwykle nastrojowe, melancholijne, nostalgiczne, a nawet smutne – zresztą tych słów i ich synonimów autorka często używa…..

Cicha Noc

gwiazdy rozdzwoniły niebo
anielska rapsodią
Matka Niemowlę owija pieluszką
…i Słowo, co Ciałem
w majestacie bieli
nowym zakwitło życiem
po ziemi zasłanej
białym płótnem śniegu
cicha kolęda niesie kaganek nadziei
tym, co za chlebem, gdzieś się zapodzieli
nagle…
w słuchawce ciepły głos z daleka
ogrzał zasmucone serce
cisza
promieniała w witrażach światła
tylko
westchnienie pokorne jak sen
pochyliło się nad Stajenką.

Boże Narodzenie, 2001 r.

….. Jednym z głównych tematów wierszy pani Anny jest przyroda – poetycko piękna w swojej zwyczajności, zazwyczaj odbierana przez autorkę wszystkimi zmysłami, żywa i urzekająco prawdziwa …..

Październik

zasnuty w ciszę senny las
rozsypał złoto października
w czerwieni dębów zastygł czas
w odcieniach brązów lato znika

w rdzawych jesionach, zółci brzóz
jesienny smutek w szalu mgły
cicho spadają drżące liście
jak bezpowrotne nasze sny

Jabłoń

obsypana różowym kwieciem
jest
słońcem
dzwonem
i wierszem
brzemienna – w zadumie lata
chyli czoło
przed jesienią
by ta przyjęła
owoc jej wiosennego
sekretu

…..Refleksje nad pięknem tego świata, ale zmiennym i nietrwałym, podporządkowanym sile czasu, dały zapewne początek kolejnemu motywowi obecnemu w poezji p. Anny Piątek – przemijaniu, które odbiera z bólem, mimo świadomości, że trzeba się z nim pogodzić.

W postawie tej zawarta jest dojrzałość człowieka, który doświadczył trudów życiowych, cierpienia, i rozczarowań, a mimo to stale odkrywa powaby świata i urok życia…..

W gałęziach coraz więcej światła
Wiatr rozczesuje grzywy zbóż
I jakby z oczu mgła opadła
Świat pojaskrawiał wszerz i wzdłuż

….. Osobnym tematem w poezji pani Anny Piątek jest wiara, którą wyraża poetka najczęściej w wierszach – modlitwach ……

….. Wiara poetki budowana jest na zaufaniu wobec Boga, do którego zwraca się bezpośrednio i serdecznie, z uległością dziecka. Z tym motywem związana jest też sfera spraw ostatecznych. Myśl o śmierci coraz wyraźniej pojawia się w jej wierszach, i aczkolwiek autorka, przywiązana do świata, zwłaszcza do jego urody i powiązana z życiem różnorakimi więzami, niełatwo się godzi na rozstanie z nim, to jednak zwycięża w niej ludzka mądrość i akceptacja Bożej woli …..

Modlitwa

Modlitwą moją nie gardź Panie
Odziany słońcem w nieba szczycie
Nie przez pomyłkę świat stworzyłeś
I nie za karę dałeś życie

Przebacz mi Boże szloch znużenia
Czasu tak mało a trosk wiele
I nawet nie śmiem prosić o to
Byś czasem w piątek dał niedzielę

Pozwól do końca ból wyśpiewać
Grzechów codziennych nie wyliczaj
Wiem, że na ziemi dnia każdego
jest Twojej woli tajemnica

Pomóż złagodzić sól w mym oku
I z szarych dni pozbierać żniwo
Pójdę gdy mnie zawołasz Boże
I schylę głowę nad Twą niwą.

….. Mimo, że często smutna i melancholijna, to jednak poezja pani Anny Piątek nie jest pesymistyczna ani gorzka, jest tworzona przez człowieka pełnego nadziei, wierzącego w dobro i odwieczne prawdy…..

Wiersze „Cicha Noc", „Jabłoń",
„Październik", „W gałęziach coraz więcej światła"
– zgodnie z wyborem pani Marii Wilk

Wspomnienie o Ani Piątek

Wciąż się spieramy jak wróble o ziarno
Każdy ma swoje pełne prawdy racje
A grymas gniewu jak krzywe zwierciadło
Ośmiesza twarze, gasi w oczach światło

Wystarczy uśmiech, by posklejać niebo
Pozwolić gwiazdom przedłużyć spojrzenie
By w rajską ciszę upadły uległą
I w jedną radość połączyły cienie

Anna Piątek „W nurtach szarości"

Panią Anię Piątek poznałam pod koniec 2001 roku przy okazji międzynarodowego konkursu „Europa w szkole" organizowanego pod patronatem Rady Europy, Wspólnoty Europejskiej i Fundacji Kultury. Pracowałam wtedy w Gimnazjum Nr 1 w Olkuszu. Uczniowie naszej szkoły postanowili wziąć w nim udział. Swoje prace podporządkowali tematowi: Pamięć, Odpowiedzialność, Przyszłość – jako zasada kształtowania stosunków pomiędzy Europejczykami. Wśród kilku różnych wysłanych prac na konkurs był filmowy reportaż o życiu i twórczości Anny Piątek, a przygotowały go ówczesne uczennice: Karolina Skawińska, Kamila Koper i Justyna Kantorowicz. Praca została wyróżniona I nagrodą w województwie małopolskim.

Europa w szkole

Sukces olkuskich uczniów

Zwycięzcy konkursu z Gimnazjum nr 1

Uczniowie trzech olkuskich szkół wrócili z nagrodami z organizowanych w Krakowie wojewódzkich eliminacji międzynarodowego konkursu „Europa w szkole" organizowanego pod patronatem Rady Europy, Wspólnoty Europejskiej i Europejskiej Fundacji Kultury. Pierwszą nagrodę zdobył film autorstwa trzech uczennic Gimnazjum nr 1 w Olkuszu, którego bohaterką jest znana olkuska poetka Anna Piątek.

Spośród olkuskich szkół nagrody wywalczyli podopieczni Gimnazjum nr 1: Karolina Skawińska, Kamila Koper i Justyna Kantorowicz za filmowy reportaż o życiu i twórczości Anny Piątek. Nagroda w kategorii fotografia przypadła Szymonowi Tomsi za pracę poświęconą cmentarzom żydowskim w Olkuszu. Grono wyróżnionych w konkursie literackim zasilił też Piotr Wieczorek. Uczniowie podporządkowali nadsyłane prace tematowi: Pamięć. Odpowiedzialność. Przyszłość. - jako zasada kształtowania stosunków pomiędzy młodymi Europejczykami.

Wśród nagrodzonych i wyróżnionych znaleźli się również uczniowie IV LO im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Olkuszu i Szkoły Podstawowej nr 10 w Olkuszu. W kategorii prac pisemnych nagrody zdobyły: Konstancja Turlej z IV LO, Paulina Dudek z IV LO i Magdalena Januszek z IV LO. Wśród wyróżnionych znaleźli się: Wiktor Nowak z SP 10, Katarzyna Bigaj z SP 10, Daniel Żmudka z SP 10, Joanna Bockenheimer z IV LO i Katarzyna Popiołek z IV LO. Nagroda w kategorii prace komputerowe przypadła Justynie Wróblewskiej z IV LO. W tej samej kategorii wyróżnienia przyznano czwórce uczniów czwartego ogólniaka: Michałowi Barczykowi, Ewie Perek, Jackowi Majewskiemu i Arturowi Duszocie. Nagrody i wyróżnienia zdobyli również opiekunowie uczniów: Franciszek Lisowski, Małgorzata Micorek i Barbara Krawczyk z IV LO, Anna Szotek z SP 10 oraz Barbara Orkisz i Olga Śladowska z Gimnazjum nr 1 w Olkuszu. Nagrodzeni i wyróżnieni w konkursie zakwalifikowali się do kolejnego, ogólnopolskiego etapu zmagań, w ramach konkursu „Europa w szkole". Na konkurs napłynęło prawie tysiąc prac plastycznych, pisemnych, prezentacji komputerowych, zestawów fotografii i filmów. Olkuskie placówki oświatowe zdobyły 18 nagród i wyróżnień.

(mik).

Spotkanie poetyckie

Rozmowy wierszem

W Gimnazjum nr 1 w Olkuszu odbył się wieczór poezji. Wzięli w nim udział uczniowie - młodzi twórcy oraz zaproszeni goście - olkuskie poetki. Była okazja do odczytania swoich utworów i wymiany uwag, refleksji.

— Spotkanie zorganizowane zostało przez dyrekcję szkoły: Barbarę Kiszko i Barbarę Orkisz oraz nauczycielki: Mirosławę Drapacz i Olgę Śladowską. Wśród zaproszonych gości znalazły się poetki: Zdzisława Barczyk, Anna Piątek i Irena Włodarczyk. W spotkaniu wzięło udział także kilkunastu młodych twórców, odczytali oni swoje wiersze. Usłyszeliśmy m.in. utwory: Anny Mrówki, Agnieszki Adamczyk, Anny Niemczyk, Dagmary Bratek, Justyny Kocjan i Pauliny Olewicz. Dialog z młodymi autorkami podjęły doświadczone poetki. Zaprezentowały one swoją poetycką odpowiedź - stąd wrażenie specyficznego, niecodziennego dialogu. Prezentowane wiersze obejmowały tematykę miłości, cierpienia, zagubienia, religii - były dowodem uważnego obserwowania świata, siebie, ludzi.

Młodzi twórcy mieli także okazję wysłuchać opinii obecnych na spotkaniu poetek. Ciepły nastrój wprowadziła Anna Mrówka, która zdabała o akcent muzyczny.

Nie był to pierwszy wieczór poetycki zorganizowany w Gimnazjum. W ubiegłym roku, w ramach konkursu „Europa w szkole", uczniowie nakręcili film poświęcony Annie Piątek. Prezentowany on był potem w czasie spotkania z poetkami. Planuje się, że tego typu wieczory z poezją będą odbywać się cyklicznie, tym bardziej że zainteresowanie nimi jest spore.

(Mj)

Od lewej: Zdzisława Barczyk, Anna Piątek i Irena Włodarczyk - olkuskie poetki.

Olkuska młodzież potrafi

Wiersze są jak... dzieci

Anna Piątek zachęcała młodych poetów do publicznej prezentacji swych wierszy.

„Wiersze są jak dzieci, które się kocha, ale którymi chciałoby się pochwalić". Te słowa olkuskiej poetki Anny Piątek przyświecały spotkaniu młodzieży Gimnazjum nr 4 z poezją. Stały się też mottem filmu o autorce zrealizowanego przez gimnazjalistki.

Powody zorganizowania wieczoru poetyckiego były dwa. Po pierwsze chodziło o prezentację młodzieży, która stawia pierwsze kroki na polu poezji. Uczniowie mają niewiele okazji do zaprezentowania swoich prac, a często są po prostu nieśmiali. Spotkanie z osobami, które mają już doświadczenie w tworzeniu i publikowaniu poezji mogło dodać im odwagi i pozwolić nawiązać kontakty w lokalnym świecie literackim.

Drugą przyczyną była kolejna edycja konkursu „Europa w szkole", którego temat dotyczył udziału Polaków w budowaniu historii Europy. Gimnazjalistki uznały, że taką postacią może być lokalny artysta. Zrealizowały więc film pt. „Cztery pory roku" opowiadający o Annie Piątek, olkuskiej poetce uhonorowanej wieloma nagrodami, która wydała wiele tomików poezji. Efekt swej pracy Kamila Koper, Justyna Kantorowicz i Karolina Skawińska pokazały poetce podczas tego spotkania. Dziewczęta przedstawiły w filmie opowieść o przygodzie Anny Piątek z poezją i przepięknie recytowały jej utwory, wspierając to kolorowymi obrazkami z okolic Olkusza. Podczas spotkania swoim kolegom przeczytały również inne wiersze poetki. Potem własne dzieła przedstawiły gościom gimnazjalistki Agnieszka Adamczyk i Faustyna Jarosińska.

Towarzyszące Annie Piątek Renata Włodarczyk i Zdzisława Barczyk z klubu literackiego Widmo działającego w MOK w Sławkowie opowiedziały młodym poetom, co powinni zrobić, by rozwijać swój talent. Zachęciły ich do udziału w konkursach poetyckich i spotkaniach literackich.

Film o Annie Piątek ma duże szanse na zwycięstwo w konkursie. Rok temu te same dziewczyny zdobyły pierwszą nagrodę za zrealizowany pod hasłem Ocalić od zapomnienia film „Olkuska perła", opisujący organy Hummla w olkuskiej bazylice. **(IKa)**

Agnieszka Adamczyk i Faustyna Jarosińska przedstawiły gościom i kolegom własne utwory poetyckie. *Zdjęcia Iwona KRZYSTANEK*

W czasie mojej pracy w gimnazjum wielokrotnie spotykaliśmy się - nauczyciele i uczniowie - z panią Anną Piątek ale także z innymi olkuskimi poetkami podczas: wieczorów poetyckich, spotkań z uczniami – młodymi twórcami, spotkań pokonkursowych, szkolnych Wigilii, jesiennego czytania poezji, z okazji wydania kolejnego tomiku wierszy uczniów z Kółka Strofka Gimnazjum z Oddziałami Integracyjnymi Nr 1, itp. Zawsze pozytywnie odpowiadała na zaproszenia. Czytała swoje wiersze, opowiadała o swojej twórczości, ale także chętnie słuchała swoich wierszy recytowanych przez młodzież. Z dużym zainteresowaniem czytała wiersze młodych twórców, udzielała im wskazówek, zachęcała do pisania i publikowania. Nieodmiennie powtarzała, że „wiersze są jak dzieci, które się kocha, ale którymi chciałoby się pochwalić".

A na pytanie: „Dlaczego piszesz wiersze?" – odpowiadała – z potrzeby serca.

Anna Piątek

Dla Gimnazjum Nr 1
w Olkuszu

Jak każda inna, ta świeci przykładem
Tu każda dziedzina idzie swoim śladem
I widać jak młodzież garnie się do pracy.
By święto swej szkoły sukcesem odznaczyć

Patronem tej szkoły jest sam
Mistrz Wyspiański
Więc młodzież ambitnie korzysta z tej łaski
Wernisaż, poezja, teatr i muzyka
Świat Muzy, co wrota talentom odmyka

Praca uszlachetnia jak mówi przysłowie
Gdy masz serce na dłoni i swój rozum w głowie
I wytrwale szukasz na tej łące Wiedzy
Czterolistnej koniczyny, by czas
szczęściem mierzyć

Podążasz do celu, by osiągnąć wiele
Razem z przyjaciółmi iść przez życie śmielej
Gdy kiedyś otworzysz swój szkolny pamiętnik
Zobaczysz czas odległy ale jaki piękny

Nie przeminą wartości pełne mądrej treści
Majątek? To wiedza, którą w głowie zmieścisz
A los jak loteria lubi figle płatać
Czasem się uśmiechnie to za trud zapłata.

Olkusz. Sierpień. 2005 r.

Wiersze ludziom niosę
Anna Piątek

Najserdeczniej Anna Piątek

5 czerwca 2006 roku w kawiarni „Gwarek" w Olkuszu uczestniczyłam na zaproszenie Towarzystwa Kultury Teatralnej w Olkuszu w wieczorze autorskim pani Anny Piątek.

Pani Ania była przeszczęśliwa w otoczeniu rodziny, przyjaciół, znajomych, zaproszonych gości. Czułam się wyróżniona. Nikt nie zawiódł. Kawiarnia pękała w szwach. Był to jeden z piękniejszych wieczorów poetyckich w jakim uczestniczyłam. Zachowałam go w pamięci, a na dowód tego, że zrobił na mnie ogromne wrażenie, zachowałam zaproszenie.

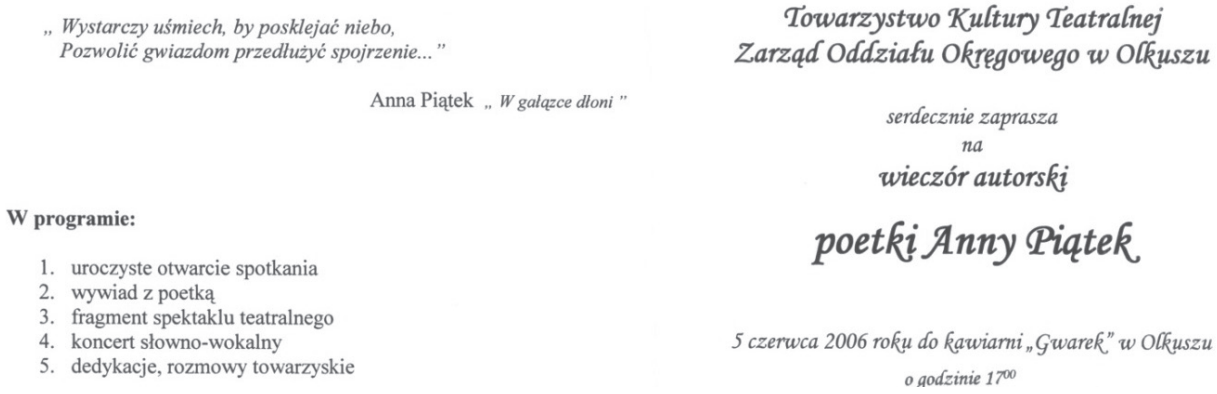

„ Wystarczy uśmiech, by posklejać niebo,
Pozwolić gwiazdom przedłużyć spojrzenie..."

Anna Piątek *„ W gałązce dłoni "*

W programie:

1. uroczyste otwarcie spotkania
2. wywiad z poetką
3. fragment spektaklu teatralnego
4. koncert słowno-wokalny
5. dedykacje, rozmowy towarzyskie

Towarzystwo Kultury Teatralnej
Zarząd Oddziału Okręgowego w Olkuszu

serdecznie zaprasza
na
wieczór autorski

poetki Anny Piątek

5 czerwca 2006 roku do kawiarni „Gwarek" w Olkuszu
o godzinie 17^{00}

Wspaniały benefis, świetnie poprowadzony przez śp. Jolantę Skawińską. Obdarowaliśmy Ją wszyscy kwiatami, a my, zaproszeni goście, także nie wyszliśmy z pustymi rękami. Zostaliśmy obdarowani kwiatami, kwiatami namalowanymi pastelami przez panią Anię na kartonikach A-4 oraz składanką z wierszem niespodzianką na tę okoliczność i piękną dedykacją. Wiersz został odczytany przez Szanowną Autorkę. U wielu z nas zakręciła się łezka w oku.

Wiersz niespodzianka

Ten jubileusz mojej muzy
Już drugi raz się nie powtórzy
Aby poezją nie zanudzić
Podam herbatkę z dzikiej róży

Wieczór przy świecach coś zostawia
Lirycznych spotkań jest oprawą
Pamięć, co darem jest najmilszym
Potrzebą serca a nie sławą

Wszystkie Basieńki, Basie , Baśki
Ściskam najczulej z całej siły
A dziś do wiersza kwiatek dodam
Aby podkreślić akcent miły

Drogim Ewuniom w noc grudniową
W śnieżną pieluszkę gwiazdkę włożę
Z kroplą miłości Macierzyńskiej
By je chroniła w trudnej drodze

Oldze, co Wyspiańskiego trzyma stronę
Światło witraży dam w podzięce
By zachwycała wernisażem
To jej podkowę dam na szczęście

Naszej Marylce od pegaza
Co wspiera tomik słowem wstępu
Zaczarowałam myśl ukrytą
W gałęziach wiersza z dobrą puentą

A koleżankom mym po piórze
Co, znają ból pisania wiersza
Radzę, by zeszły z chmur na ziemię
Droga tworzenia tu jest szersza

Młodym artystom teatralnym
Kiedy odsłania się kurtyna
W odświętny nastrój wprowadzają
Sztuka, aktorzy, światło, scena

Recytatorom moich wierszy
Chcę podziękować najszczególniej
Za czas, za pamięć, za wzruszenie
Również za tremę chwili trudnej

Grupie poetów z szkolnej „Strofki"
Gdy pokonują trud tworzenia
Gwiazda poezji niech przyświeca
By się spełniły ich marzenia

Olgerd – rodzynek w naszej babie
Zawsze najmilszy w babskim gronie
To teraz z Jackiem, Markiem, Jurkiem
Twarzą historię w „Okna Bramie”

Dla ukochanej Pani doktor
Tej, która dba o moje serce
Chcę podziękować za wzruszenie
Gdy się pochyla nad mym wierszem

I przyjaciółkom, tym z przyrody
Co, duszę mą wspierają w biedzie
Lubię kwitnące ich ogrody
I lubię z nimi tam posiedzieć

Mojej połowie – tej od serca
Doleję miodu w złe nastroje
By w tej huśtawce codzienności
Ciągnąć pod górę wóz we dwoje

Z kolei moim słonecznikom
Wszystkim z osobna bez wyjątku
Zostawię w spadku ogień serca
Źródło bez końca i początku

Dla wszystkich Państwa mam w zanadrzu
Garść różnych wierszy w nowym tomie
W gałęziach coraz więcej światła
Choć cieni blaskiem nie zasłonię

Za tydzień Joli imieniny
Znów literacką mamy ucztę
Więc wypijmy łyk szampana
By spotkać się za dwa miesiące.

Olkusz. Piąty czerwiec. 2006

Potem jeszcze wielokrotnie spotykałam Panią Anię na spotkaniach poetyckich w Klubie Osiedlowym „Przyjaźń” organizowanych przez panie: Mirosławę Drapacz, Barbarę Orkisz i Olgę Śladowską.

Kilkakrotnie odwiedziłam Panią Anię w jej pięknym mieszkaniu, pełnym pamiątek i bibelotów, kiedy przynosiłam „Zeszyty Historyczne Olkusza”. Czytała je i dbała, by mieć wszystkie numery. Zachwycałam się zawieszonymi na ścianach pięknymi obrazami kwiatów wykonanymi własnoręcznie różnymi technikami lub przez jej koleżanki, częstowała herbatą i ciasteczkami.

Miła, serdeczna, zawsze uśmiechnięta, i chociaż już bardzo chora, to wciąż pełna osobistego uroku, kochająca ludzi. Kiedy opuszczałam jej piękne mieszkanie – zawsze serdecznie zapraszała na kolejne spotkanie.

Mimo postępującej choroby nie poddawała się. Przyjęła zaproszenie na spotkanie z nauczycielami seniorami w Klubie Nauczyciela ZNP w Olkuszu, które odbyło się 4 listopada 2014 roku. Przybyła w towarzystwie Grażyny Wącław, opowiadała o swoim życiu, twórczości, czytała wiersze. Przyjęta została bardzo serdecznie i wychodziła ze spotkania niezmiernie zadowolona. Pożegnała się ze wszystkimi osobiście, podchodząc do każdego z dobrym słowem i serdecznym uściskiem. Nikt z nas wtedy nie podejrzewał, że jest to już ostatnie z nami spotkanie. Może tylko Ona?

Te kwiaty malowane pastelami otrzymałam od Ani na Jej benefisie.

Na spotkaniu seniorów w Klubie Nauczyciela 4 listopada 2014 roku.

W czasie prezentacji na wieczorze autorskim w olkuskim Osiedlowym Klubie „Przyjaźń”

Wspominała Barbara Kiszko

Pani Anna oprócz wierszy pisała też opowiadania. Oto jedno z nich.
Opowiadanie poniższe ukazało się w Kwartalniku Powiatu Olkuskiego (nr 3 lipiec – wrzesień 2014).

DNIÓWKA W PRL-U

Piąta rano. „O rany, zaspałam! Nie słyszałam budzika". Pośpiesznie wyskakuję z łóżka. Nastawiam czajnik, robię kanapki. Zegarek przestawiam na siódmą, żeby chłopcy nie spóźnili się do szkoły. Wybiegam z domu. Jest mglisty, listopadowy ranek. Co tchu dobiegam do portierni. Odbijam kartę zegarową. Oddycham z ulgą, jest za pięć szósta. Zdążyłam.

Nocna zmiana skończyła dniówkę. Tłum gromadzi się pod bramą. Na hali gwarno, zimno, majster rozdaje robotę. Robotnice przejmują stanowiska. Na stołach papier, sznurek, wolina[1]. Wjeżdżają pierwsze wózki z towarem. Z taśmy schodzą ostatnie pakiety z nocnej zmiany. Moje biurko ustawione jest przy ścianie kantorku. Pośpiesznie przeliczam dobowy przychód „kraju" i „eksportu". Raport gotowy. Biegnę do biura przekazać go kierownikowi produkcji. Serce podchodzi mi do gardła, wchodzę.

– Dzień dobry – mówię nieśmiało. Nie odpowiedział. Zerknął na kartkę i wrzasnął:

– Co, 13 ton!? A do końca roku tylko miesiąc! Znów zawalimy plan! – pokrzykiwał.

– Panie kierowniku, drobny towar, mokra wolina – wyjaśniam nieśmiało.

– Co wy mi tu o wolinie! Majster jest od tego!

– Przepraszam.

„Wstał chyba lewą nogą" – pomyślałam i wyszłam.

[1] rodzaj materiału do pakowania; wiórka z drewna.

– O Boże, Boże, ojciec prawdę mówił, że cukierków to tu nie produkują – przekonuję samą siebie.

– Marta, szybciej! – dojrzała mnie Zośka, kiedy wchodziłam na halę. Na szóstym pełno pakietów. Te z magazynu jakby się wściekły, popędzają. Ciągle im mało. Zośka wrzuca pakiety jak klocki na transporter. Maryśka z kontroli liczy, sprawdza gatunek, rozmiar, wagę. Szóstka gotowa. Idziemy na siódemkę. Później kolejno piątka, czwórka, trójka.

– O, już śniadanie, Helka wiezie kawę – zauważyła Zośka.

Dziewczyny wyciągają zawiniątka z jedzeniem. Z konwi nalewają kawę zbożową, siadają gdzie która może. Zaczynają śniadanie. Ja umieram ze strachu, bo o tej porze moi chłopcy przechodzą przez przejazd kolejowy do szkoły. Czasem uda mi się wyskoczyć z fabryki, aby przeprowadzić dzieci bezpiecznie. Wtedy jestem spokojna. Dzisiaj to nie wchodzi w grę. „Ale ze mnie macocha" – myślę. Staram się odsunąć od siebie niepokój. Cóż, takie czasy. Z jednej pensji nie da się wyżyć, a tu raty za meble trzeba spłacić, dzieciom na zimę buty i ubranie kupić, no i czynsz za mieszkanie opłacić. Usiadłam obok Zośki.

– Masz tu kubek, kawa jeszcze ciepła, jedz! – namawia Zośka.

– Dziękuję, Zosiu. – Sięgam po kromkę, na którą wcale nie mam ochoty.

– Słyszałaś, Marta, wczoraj dawali premię eksportową – zagaduje wciąż Zośka.

– Tak? Nic o tym nie wiem – mruknęłam.

– Widzisz, jaka sprawiedliwość... Nam się nie należy, choć tyle ton przerzucamy przez ręce – użala się rozgoryczona.

– Chyba nie, skoro nam nie dali – odpowiadam ze spokojem.

– A żonie kierownika to się należy? Co ona ma wspólnego z eksportem? Siedzi w kantorku i spisuje dniówki – rozżalenie Zośki staje się coraz większe.

– Skąd wiesz, że dostała? – przerywam jej wreszcie.

– Widziałam, jak podpisywała listę, bo byłam w kantorku po tabletkę od bólu głowy. Majster chodził z listą i co niektórym kazał podpisać. Listy zarobkowej też nie wywieszają. Żeby nie było wiadomo, ile kto zarobi. Na mój rozum, to na nic dobrego się nie zanosi – narzeka wciąż bez ustanku.

– Ej tam! Do roboty! Dokąd będziecie jadły – wrzasnął majster. – Szybciej, szybciej! Zbierać z piątki.

– Widzisz go, jaki ważny – Zośka strzeliła wzrokiem w stronę majstra.

– Na tamtych zmianach to majster pomaga, a ten ręce w tyle trzyma i arie wyśpiewuje. Minął się z powołaniem – dodałam.

– Idę na szóstkę. Pomogę Wandzie naklejać etykiety – powiadamia mnie zwięźle.

– A ja podliczę przychód, bo zaraz zjawi się kierownik – odparłam. Szybko wypisuję kartki, sumuję liczby, zapisuję kilogramy. Za plecami słyszę kroki. „O wilku mowa" – pomyślałam.

– Ile już naliczyłaś? – spytał wciąż podenerwowany kierownik.

– Dziewięć ton „kraju" i trzy tony „eksportu" – odpowiedziałam. Tym razem bez słowa poszedł dalej. Tymczasem dziewczyny z szóstki przekazały towar do magazynu.

– Mała przerwa... Idę na papierosa – oznajmia Zośka, która przed chwilą właśnie wróciła.

Spojrzałam na Wandę. Stała zamyślona obok taśmy. Ocierała łzę. Podeszłam do niej.

– Wanda, co ci jest? Źle się czujesz?

– Nic mi nie jest – odpowiedziała cicho i bez przekonania.

– Przecież widzę, że płaczesz. Powiedz wreszcie, co cię boli – nalegałam.

– Co ja ci, dziołcha, będę mówić. Mój wczoraj miał wypłatę. Przyszedł do domu ożarty i zrobił „bonanzę" na cały blok. Zdążyłam tylko Pawełka złapać i uciekłam do mamy. Zobacz, bo byś nie uwierzyła. – Powoli podniosła do góry spódnicę.

– O, Boże – westchnęłam. Cały pośladek był granatowy.

– Żal mi cię, Wanda – wyszeptałam. – A jak się czuje twoja mama po tej operacji woreczka? Obie leżałyśmy na jednej sali – dodaję szybko, chcąc odwrócić jej uwagę od bolesnego problemu.

– Przecież wiem. Ciągle cię wspomina. A chore to i słabe, dobrze, że jeszcze łazi.

– Nie martw się. Dojdzie do siebie – pocieszałam Wandę.

Już w pół do dwunastej. Przedpołudnie szybko zleciało. Nagle... Co to za zbiegowisko? Wszystkie pakowaczki biegną w stronę jedynki. Ktoś krzyczy: – Gdzie majster!?

– Józka zemdlała, dzwoń po pogotowie! – woła do mnie Zośka.

Biegnę do telefonu. Wzywam karetkę. – Odsuńcie się na bok! – krzyczę przerażona. Józka biała jak papier leży na podłodze. Wanda obmywa ją wodą. – O, już jest lekarz – zauważam przytomnie. – Rozejdźcie się! – Wszystkie jednak stoją jak wryte. Józkę niosą na noszach do sanitarki.

– Masz ci, babo, placek. Robota paliła się jej w rękach, aż serce wysiadło. Rzucili pod koniec dniówki gary czterdzieste czwarte, to chciała zarobić. Święta za pasem, a teraz masz... – lamentowała Stasia.

– Biedna Józka, chłopa jej niedawno zabiło na kopalni. Teraz sama z czwórką dzieci – użalały się kobiety.

– Marta, gdzie majster? – zagadnęła mnie Celina. – Papieru brakuje do pakowania – dodała tonem skargi.

– Poszedł do biurowca na posiedzenie egzekutywy – odpowiedziałam.

PROZA

No tak, jak jest potrzebny, to wciąż gdzieś łazi – pomyślałam. A na hali zamieszanie, robota wcale nie idzie...

– Idź, zawołaj go – poprosiła Celinka.

– Już idę – decyduję się w jednej chwili. Wchodzę, od drzwi powiało browarem. – Dzień dobry – mówię. – Przepraszam, pan majster z pakowni proszony jest na oddział – oznajmiam nieśmiało.

– Teraz zajęty – warknął sekretarz. – Nie widzicie, czy co?

– Widzę – odpowiedziałam cicho. Majster wstał od stolika i podszedł do mnie.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem. Zdobyłam się na odwagę i mówiłam dalej:

– Musi pan przyjść na oddział. Józka zemdlała, zabrało ją pogotowie. No i... zabrakło papieru i sznurka.

– Już idę – powiedział bez wahania.

Wróciłam na pakownię. Dziewczyny porządkują swoje stanowiska. Chwała Bogu, koniec dniówki – pomyślałam. Zbieram swoje klamoty i schodzę do szatni. Uderzyła mnie dziwna cisza.

– Co was tak zamurowało? Macie takie pogrzebowe miny. – Dziewczyny spojrzały jedna na drugą. Tereska płacze. – Co się stało? – ponowiłam pytanie. Dopiero wtedy Zośka zaczęła mówić.

– Na przejeździe kolejowym był wypadek. Nie żyje sześć osób. Z pakowni zginęła Krysia, twoja koleżanka z wagi.

– Jezus, Maria! To niemożliwe! Krysia! – wykrzykiwałam. Czarne myśli zakłębiły mi się w głowie, gdy uświadomiłam sobie niespełniony obowiązek macierzyński. Dziewczyny powoli się porozchodziły, a ja z bijącym sercem poszłam odebrać dzieci ze szkolnej świetlicy.

– Mamusiu, dostałem piątkę z dyktanda – cieszy się Marek.

– Dobrze, synku. – Tuląc małego, całuję jego główkę – O, Zbyś już gotowy!

Myślę: jak dobrze mieć was przy sobie.

– Idziemy do domu, chłopcy.

Uśmiechem żegna nas pani kierowniczka świetlicy.

Łukasz Kuba Piątek

Bardzo ceniona przez lokalne środowisko artystyczne, ale i nie tylko - bo przecież ot tak sobie nie trafia się do Związku Literatów Polskich, nie święci się triumfów w ogólnopolskich i zagranicznych konkursach literackich. I choć mając na uwadze jej nadprzeciętny talent oraz ogromne osiągnięciamy najbliżsi - przede wszystkim uwielbialiśmy i kochaliśmy ją za bycie...sobą... za bycie...dla nas. „Hania" - bo tak na nią mówiliśmy, była dla nas mamą, teściową, ciocią, babcią i prababcią. W każdej z tych życiowych i jakże trudnych ról przez całe życie odnajdywała się nader wzorowo.

Dla sympatyków jej twórczości, dla uczniów tych wszystkich szkół, które na zaproszenie dyrekcji zawsze chętnie odwiedzała, by spotkać się z młodzieżą, dla redaktorów piszących o niej artykuły, dla burmistrza wręczającego jej najważniejszą olkuską nagrodę artystyczną za całokształt twórczości, oraz dla wielu innych była „Panią Anią, znaną i szanowaną poetką". A kim była dla nas? Przede wszystkim ciepłą, kochającą i bezinteresownie pomocną osobą, która swoją rodzinę przedkładała ponad te wszystkie sukcesy, popularność i nagrody, od ciężaru których uginała się jej pokojowa półka. Cierpliwa, troskliwa, wrażliwa na cudze cierpienie, niezwykle uprzejma i życzliwa.

Mieliśmy to szczęście, że dla nas była niemalże na wyciągnięcie ręki, tak blisko, tak zwyczajnie, tak po prostu. Zawsze niezmiernie dumni z jej sukcesów, ale nie zaskoczeni, bo przez te wszystkie lata przywykliśmy do myśli, że „nasza babcia" jest najlepsza.

Dziś musimy pogodzić się z faktem, że JEJ nie ma już wśród nas.

I choć jesteśmy przekonani, że w naszych sercach i pamięci „Hania" pozostanie na zawsze, mimo to należy na nowo, już bez niej, nauczyć się „malować świat - niestety -niedobranym kolorem".

Najbliżsi

Pan Łukasz Kuba Piątek – wnuk pani Anny Piątek.

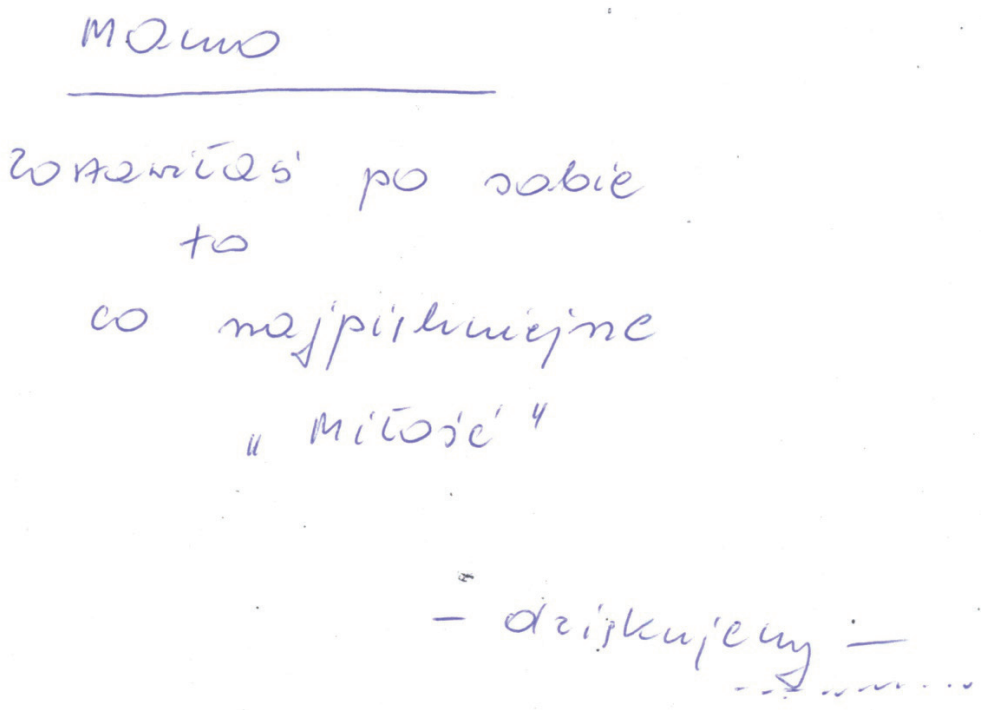

Uśmiechnięta, radosna, szczęśliwa…

kochająca kwiaty…

swoje mieszkanie, rodzinę…

…przyjaciół i znajomych

Przyciągała do siebie ludzi, a oni się odwzajemniali – kwiatami, przyjaźnią.
Zdjęcia z archiwum rodziny.

Rękopisy poetki.

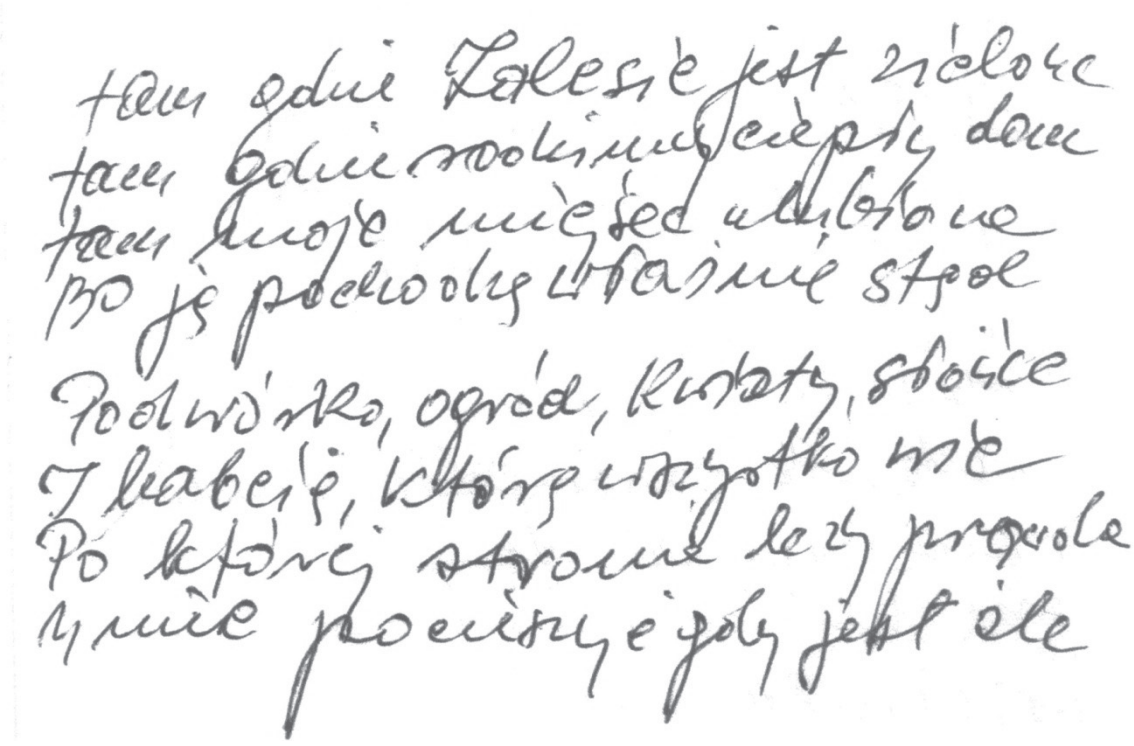

całe to umieranie –
odwracę twarz w świtanie powrotu
nadkiei odrastają lotki
by
na skrzydłach jaskółki
ulecieć w spoistość zielonej procesji
słońce
wskazującym palcem dą znak
i pierścieniem uczyni zadość...

stąd moją pewność
Jego boskiej chwały

Zdjęcie z wieczoru autorskiego poetki w olkuskim Osiedlowym Klubie „Przyjaźń”.

Panie
co oświecasz serca
zapal światło wieczności
tym, co byli wczoraj
i wskaż drogę szczęśliwą
tym, co przyjdą jutro

Niech zapełnią półki dziedzictwem Słowa
pełnym skupienia i zadumy
w otwartej przestrzeni przemijania.

Olkusz. 28.luty.2007r.

Życie, życie jest miłością
Raz spełnioną a raz gorzką
Pośród wszystkich dróg na świecie
Każdy ma swą stronę mroczną

Gdy opuszczę raj na ziemi
Oddam Bogu duszę biedną
Nie wyliczaj win codziennych
Przecież wiesz nie byłam świętą

Życie życie dam ci różę
Żeby ci nie było smutno
Może po mnie ktoś szczęśliwy
Przyjdzie z różą w twoje jutro

Olkusz. styczeń.98r.

Rozmowa z cieniem

taki tu spokój
tyle w nim ciebie
zdmuchnięty przez wiatr
okryty ciszą
stoisz
za murem rozdartego sensu
by nie sprzeciwić się Bogu

tylko czasem
twoja twarz
jak rozłamany promień
zapala się i zgaśnie
w moim oknie snu
smugą cienia wpisana w jawę

a życie
przelatuje wschodem i zachodem
jakby nigdy nic.

Zdjęcia z wieczoru autorskiego poetki w olkuskim Osiedlowym Klubie „Przyjaźń”.

Odejść
odejść to zdążyć na zawołanie
odejść
to odwrócić twarz
w niezmierzoną przestrzeń
uwierzyć, że na końcu drogi
jest Najjaśniejsze światło
odejść
to zamknąć księgę
z dedykacją dziękuję, że byłam

Olkusz listopad 2000r.

Wspomnienia zebrała Barbara Kiszko

III. Stefan Ząbczyński
Pierwszy Honorowy Obywatel Miasta Olkusza

wnuk Michał Jezierski

Urodził się 30 sierpnia 1912 roku w ubogiej chłopskiej rodzinie, we wsi Zadroże, jako najstarszy syn Franciszka i Honoraty, jeden z sześciorga rodzeństwa – trzech braci i trzech sióstr. W 1924 roku ukończył Szkołę Powszechną w Zadrożu, jednak ze względu na problemy materialne nie mógł podjąć nauki w Gimnazjum; zamiast tego, podejmując pracę w polu, jednocześnie pobierał nauki u miejscowych nauczycieli. W wieku 17 lat przystąpił do Straży Pożarnej. Równocześnie działał jako ministrant i w roku 1928 był jednym z inicjatorów powstania miejscowego oddziału Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, którego został sekretarzem. W latach 1931-1932, wraz z innymi członkami SMP, dla których podjęcie nauki w szkołach powszechnych było nieosiągalne, ukończył korespondencyjny kurs Przysposobienia Rolniczego im. Stanisława Staszica, przygotowywany pod patronatem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie przez kadrę profesorską Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.

Formalne wykształcenie zdobywał w 1933 roku w Szkole Rolniczej w Trzyciążu, gdzie został współautorem programu hodowli owcy długowełnistej rasy olkuskiej. Dnia 2 listopada 1934 roku został powołany do 9. Pułku Ułanów w Tremblowi, gdzie służył pod pułkownikiem Tadeuszem Komorowskim, ps. Bór, późniejszym dowódcą Armii Krajowej i Naczelnym Wodzem; Stefan Ząbczyński został wcielony do 1 Szwadronu Ułanów, gdzie służył do 20 września 1936 r.

Lata 1934-1936.9-ty Pułk Ułanów

9-ty Pułk Ułanów. Ćwiczenia.

Rok 1935. Zimowe ćwiczenia. Cz.1.

Rok 1935. Zimowe ćwiczenia. Cz.2.

Po powrocie do Zadroża zajmował się rozwijaniem gospodarstwa rolnego oraz równocześnie zaangażował się w działalność Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, wraz z którym prowadził szeroką działalność kulturową, m.in. wystawiając dla miejscowej ludności sztuki teatralne oraz organizował miejscowe życie społeczne. W lutym 1937 roku został zastępcą Naczelnika Straży Pożarnej w Zadrożu. Począwszy od 1936 roku kontynuował naukę w ramach kursu Przysposobienia Rolniczego im. Stanisława Staszica, w zakresie materiału szkoły średniej, co umożliwiało przystąpienie do egzaminu maturalnego – w tym wypadku pierwszym możliwym terminem był grudzień roku 1939, co w związku z wybuchem wojny było niemożliwe.

Wybuch II Wojny Światowej zaprzepaścił marzenia Stefana Ząbczyńskiego o zakończeniu edukacji. Po przegranej przez Polskę wojnie obronnej, przystąpił do struktur konspiracyjnych. 20 listopada 1939 roku został zaprzysiężony na Komendanta Służby Zwycięstwa Polsce na terenie gminy Jangrot. W czasie okupacji, w dniu 27 kwietnia 1940 roku poślubił Marysię z domu Żelazny.

Lata 40, z motorem którym dojeżdżał do pracy.

Dalej służył w Związku Walki Zbrojnej, następnie Batalionach Chłopskich, gdzie został dowódcą plutonu i oficerem łączności obwodu Batalionów Chłopskich. Jednocześnie przynależał do Związku Inteligencji Ludowej „Orka", pełniąc funkcję członka Zarządu Powiatowego. Po powstaniu Armii Krajowej został włączony w jej struktury i od 1943 roku był dowódcą plutonu i kompanii łączności 116 p.p. Armii Krajowej w 106. Dywizji Armii Krajowej, posługując się pseudonimem „Zet". Za swoje zasługi został odznaczony Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, czterokrotnie Medalem Wojska i Krzyżem Partyzanckim. Wojnę zakończył w stopniu podporucznika, w 1992 r. otrzymał stopień porucznika, w 1996 r. stopień kapitana a w 2001 r. stopień majora.

Po wojnie zdał egzamin maturalny a w 1952 roku z wynikiem bardzo dobrym złożył egzamin inżynierski na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Egzamin magisterski złożył w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie na kierunku ekonomiki rolnictwa.

Pracował w Związku Samopomocy Chłopskiej, od 1946 roku w Biurze Rolnictwa przy Starostwie w Olkuszu a w 1950 roku został kierownikiem Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa Rady Narodowej. W latach 1960-1974 był nauczycielem w Szkole Przysposobienia Rolniczego w Sułoszowej.

Z młodzieżą szkoły Przysposobienia Rolniczego

Z młodzieżą szkoły Przysposobienia Rolniczego

Lata 50. Przyjmuje wieniec dożynkowy.

Jako urzędnik jednocześnie prowadził własne gospodarstwo rolne, na którym podejmował próby z nowatorskimi metodami prowadzenia uprawy, które następnie rozpowszechniał na podległym mu terenie.

Jednocześnie upowszechniał zdobytą wiedzę, jako nauczyciel w szkołach powszechnych. Za całokształt działalności edukacyjnej i oświatowej został odznaczony Medalem Komisji Edukacji Narodowej oraz Złotym Medalem Związku Nauczycielstwa Polskiego. W 1967 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim a w 1986 r. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W roku 2000 został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Przez całe życie publikował artykuły związane z rolnictwem oraz z historią Straży Pożarnej, pisał wiersze. Zwieńczeniem jego kariery było utworzenie Muzeum Pożarnictwa Ziemi Olkuskiej, noszące jego imię, którego był kustoszem przez wiele lat, jak również pełnił funkcję Prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej w Olkuszu.

Był także kierownikiem zespołu wydawniczego i autorem licznych artykułów w kwartalniku „Merkuriusz Strażacki". 29 września 1995 roku Rada Miejska w Olkuszu nadała mu tytuł Honorowego Obywatela Miasta Olkusza. Zmarł 23 listopada 2002 r.

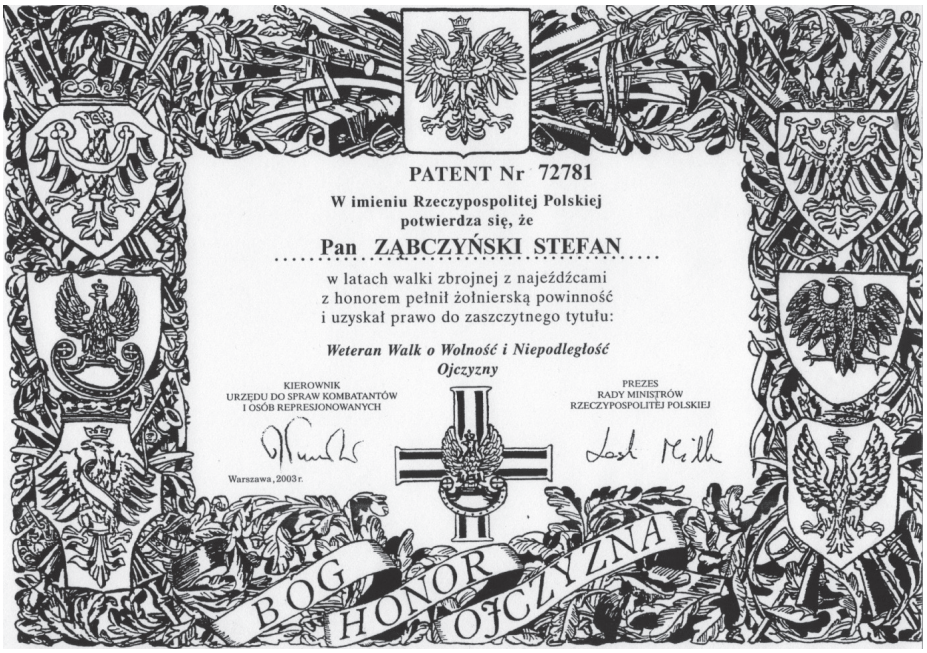
PATENT Nr 72781

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej
potwierdza się, że

Pan ZĄBCZYŃSKI STEFAN

w latach walki zbrojnej z najeźdźcami
z honorem pełnił żołnierską powinność
i uzyskał prawo do zaszczytnego tytułu:

Weteran Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny

KIEROWNIK URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH

PREZES RADY MINISTRÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, 2003 r.

BÓG HONOR OJCZYZNA

Stefan Ząbczyński w galowym mundurze.

SIŁY ZBROJNE RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

mianował

nie będącego w czynnej służbie wojskowej

kpt. ZĄBCZYŃSKI Stefan s. Franciszka r. 1912

na stopień

MAJORA

z dniem *19 października 2001r.*

WOJEWÓDZKI SZTAB WOJSKOWY KRAKÓW

płk dypl. Andrzej MARCINIAK
SZEF
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
Kraków

Kraków, 10.11.2001r.
(data)

MON-Kadr-rez/6a. Druk BTAPiZ zam. 388/2000

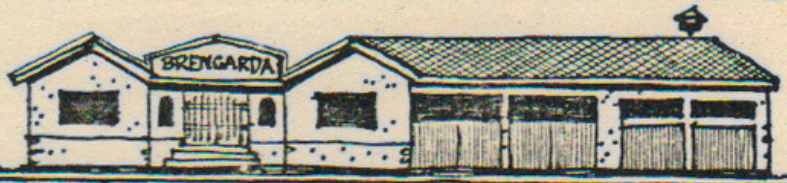

MUZEUM POŻARNICTWA ZIEMI OLKUSKIEJ W OLKUSZU

Merkuriusz Strażacki

Nr 4

WYDANO STARANIEM
ZARZĄDU OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ
W OLKUSZU

Miłość

Jest w życiu iskra, ukryta w sercu czy duszy,
Która uśpiona, nigdy nie żarzy i nie ogrzewa,
Lecz śpi spokojnie i mąk nie sprawia ani katuszy,
Co by raniły serce i duszę, - lecz swoje prawo miewa.
Jest w życiu iskra, co gdzieś ukrycie
W sercu człowieka, nieraz tajemnie i cicho
Budzi się, żarzy, że zda się całe życie oplecie,
I go uniesie w zaświaty, potem przepadnie głucho.
Iskra ta raz poruszona czyimś podmuchem,
Nagle wybuchnie ognia gorącym żarem,
I bucha, szumi, oplecie jak gdyby puchem,
Uniesie w świat marzeń, upoi swoim czarem.
Iskrę tę wyczuć trzeba, i ją ugasić albo rozpalić,
Tak przygaszoną tłumić przez życie,
Jak rozpalona, to ją utrwalić,
I oddać komuś i kochać choćby skrycie.

21 V 1938 r.

Ojczyzna

……. Ojczyzna.
To wielkie słowo co kryje w sobie skarby złota,
To pieśni echo, melodii treść bogata,
Co się unosi w laurach rannej zorzy,
W błękitach nieba twór Boży,
To ziemia żyzna.
……. Ojczyzna.
To ziemia tak droga jest i miła,
Co krwią przesiąkła braci była,
Co wierne syny znoju potem ją oblali,
Na każdym miejscu, - wielcy i mali,
Chociaż im długo świeciła blizna.
……. Ojczyzna.
Polska! – kochana jest i święta
Bo z Boga w wiekach jest poczęta,
Miłością synów wciąż otoczona,
Choć gromy biją, ona złączona
Zawsze jest mężna.
……. Ojczyzna.
W dziejowych wieków kart historii
Nigdy nie splami swojej glorii,
Jej chwała bez końca płynie,
A chociaż cierpi, nigdy nie zginie,
Zawsze potężna.
……. Ojczyzna.
W katordze jarzma plugawej ręki,
Choć strasznej dzisiaj doznaje męki,
Znowu zabłyśnie jak ranna zorza,
Wielka, potężna, święta i Boża.
Bóg jej to przyzna.

15 III 1940 r.

IV. Wspomnienie o Leonii Ogrodzkiej (1901 – 1973)
sekretarce „Liceum" w latach 1931 – 1939
z przerwą okupacyjną, i w latach (1945 – 1972)

Przyjaciółka - mgr Zofia Krokosz.

Leonia Ogrodzka

Zjazd 40-lecia Szkoły – 1956. Grono pedagogiczne z Dyrektorem Stanisławem Wilczyńskim (pierwszy od prawej). W tle Tablica Pamiątkowa w ścianie budynku Szkoły – ul. B. Bieruta, obecnie J. Piłsudskiego.

Na zdjęciu od lewej strony siedzą: pierwszy Inocenty Libura, druga Leonia Ogrodzka.

Trwała jeszcze w pełni pierwsza wojna światowa, a Olkusz tkwił głęboko w wojennych kłopotach i biedzie ,gdy dzięki ludziom kierującym życiem kulturalnym miasta powstały dwie średnie szkoły: męska i trochę później żeńska. Ta ostatnia była prywatna,8-klasowa, i została zorganizowana przez Komitet Społeczny pod opieką Polskiej Macierzy Szkolnej. Czesne było dość wysokie jak na zubożałe społeczeństwo, toteż były stosowane ulgi w uzasadnionych przypadkach[1]. Szkołą kierowała od początku Maria Grużewska, świetna nauczycielka historii, osoba bezpardonalna trzymająca w ryzach wszystkich nauczycieli i „licealistki" jak nazywano w mieście uczennice noszące z dumą obowiązujące granatowe berety obszyte na otoku dwoma wąziutkimi sznureczkami w kolorze białym- młodsze klasy, starsze – bordo.

Do tej szkoły zaczęła uczęszczać od chwili jej założenia Leonia Ogrodzka i należała do dziewięciu dziewcząt, które w - 1921 roku zdały pierwszą w tej szkole maturę. Na maturę zawsze był delegowany przez Kuratorium wizytator, który nadzorował przez cały czas przebieg tego ważnego dla życia szkoły zdarzenia. Leonia Ogrodzka zwana i w rodzinie i wśród koleżanek, a w dorosłym życiu przez przyjaciół „Niusią" pochodziła ze zubożałej przez trwającą wojnę rodziny inteligenckiej szczególnie mocno dotkniętej nieszczęściami. Na wczesne lata Leonii Ogrodzkiej pod koniec wojny i początek niepodległości położyła się cieniem śmierć bliskich osób: ojca,12-letniej siostry,18-letniego brata i szczególnie ukochanej babci, baronowej Sommoggy i przyspieszyły jej dojrzałość duchową o tonacji zbyt poważnej dla tak młodej osoby. Matka umiała prowadzić dom, ale była bezradna wobec klęsk życiowych. Toteż nic dziwnego, że z dwóch córek starsza o osiem lat Leonia wzięła na swoje barki utrzymanie matki i siostry.Zaraz po skończeniu Liceum w 1921 roku zaczęła pracować w niedawno założonym banku, późniejszym PKO.W roku 1932 po wyjeździe z Olkusza sekretarki Państwowego Męskiego Liceum i Gimnazjum pani Urszuli Osmołowskiej, żony nadleśniczego przeniesionego służbowo w inne rejony Polski, objęła kancelarię szkoły i szybko zaczęła się cieszyć opinią znakomitej sekretarki – prawej ręki dyrekcji. Dodatkowo zarabiała prowadząc księgowość słynnego z dobrej opieki i smacznego jedzenia internatu męskiego. W latach trzydziestych ukochana siostra Wandzia(też abiturientka Żeńskiego Liceum) wyjechała z Olkusza na kresy za mężem i Niusia została tylko z matką .

Wybuchła druga wojna światowa. Władze okupacyjne zamknęły w lutym 1940 roku szkoły średnie. Niusia zdążyła ukryć i zachować w całości wszystkie najważniejsze akta uczniowskie i personalne szkoły. Zaczęła pracować jako urzędniczka w Magistracie. Tam dotrwała do lutego 1945 roku i od razu włączyła się do grona ludzi, którzy zaczęli organizować szkolnictwo średnie. Zamiast gimnazjum męskiego i żeńskiego powstało jedno koedukacyjne w gmachu dawnego Liceum Żeńskiego na Czarnej Górze najwcześniej opuszczonego budynku przez wojska radzieckie. Przedwojenna dyrektorka Żeńskiego Liceum Elżbieta Zbiegowa ściągnęła od początku Niusię do wszystkich prac organizacyjnych, do których włączyło się też kilku nauczycieli szkół średnich uczących w czasie okupacji w wiejskich szkołach podstawowych. Jedną z początkowych prac było zaopatrzenie powstającego liceum w ławki. Dyr. E. Zbiegowa z Niusią i z jednym z nauczycieli spenetrowali schrony poniemieckie urządzone w głębokich dwupiętrowych piwnicach domów wokół północnej części rynku do urządzenia których Niemcy ściągnęli ławki ze szkół olkuskich.

Mury szkolne nadspodziewanie szybko zaczęły tętnić życiem młodzieży w wieku od czternastu do dwudziestu paru lat. Młodzież ciągnęła ze wszystkich wsi i okolicznych miasteczek. Przybyło też niespodziewanie dwóch doświadczonych nauczycieli ze znanych szkół warszawskich: geograf Witold Konopacki i matematyk Stanisław Wilczyński. Obaj po Powstaniu Warszawskim zamieszkali w podolkuskich wsiach i tam z miejsca zaczęli uczyć grupowo starszą młodzież.

Niusi udało się szybko zorganizować sekretariat szkoły, ściągnąć przechowywane akta, uporządkować łącznie z aktami liceum żeńskiego i wszystkie nowe sprawy włączyć do regulowanego przez życie nurtu. Rozrastała się szkoła i w kancelarii przybywało pracy. Toteż od początku miała Niusia pomoc w postaci sekretarki byłego liceum żeńskiego p. Witczyńskiej, a potem młode osoby, które edukowała umiejętnie i życzliwie, co owocowało później długą i serdeczną znajomością. Te młode osoby często jednocześnie uczyły się na różnych kursach wieczorowych, a jedna z nich wybitnie uzdolniona skoń-

1 Czesne wynosiło 40 zł miesięcznie. Relacja cen: 1 kg mięsa rosołowego - 1 zł, 1 kg cukru - 1 zł, 2 kg chleba - 1 zł. Przeciętne pensje urzędnicze od 120 do 300 zł

czyła na UJ prawo i stała się osobą liczącą się w Urzędzie Miasta.

Wkrótce Niusia w okresie normowanym przez życie stała się tak jak przed wojną podporą dyrektorów. A dyrektorzy, tak jak i czasy, zmieniali się szybko. Po polonistce Elżbiecie Zbiegowej przyszedł historyk Z. Michalski, potem polonista Józef Fiałek zabrany przez kuratorium na dyrektora liceum w Krakowie, matematyk Stanisław Wilczyński, polonistka Gabriela Zubowa i ostatni Niusi dyrektor – polonista Franciszek Lisowski.

Szkoła pękała w szwach od natłoku młodzieży i pracowała od rana do godzin wieczornych. Kancelaria była również czynna do wieczora. Praca Niusi poszerzyła się o księgowość zarówno L. O. młodzieżowego jak i Koła Rodzicielskiego. Przybywało nie tylko uczniów ale i nauczycieli, głównie młodych często początkujących. Swój kontakt ze szkołą zaczynali od dyrektora i sekretarki. I wszyscy młodzi znajdowali podporę w Niusi życzliwości, która radami i doświadczeniem umiejętnie ułatwiała im zaadoptowanie się w nowym środowisku, w nowym często dla nich życiu nauczycielskim. Do Niusi ciągnęła szczególnie większość młodych nauczycielek, dla których Olkusz był obcy. Zapraszała je do siebie na herbatę, lub kolację. Oswajała je, znajdywały w niej ludzką życzliwość, rzadki klejnot w zabieganym oschłym życiu, życzliwość która czasami zamieniała się w długotrwałą przyjaźń.

Niusia po śmierci matki w 1954 roku tworzyła przyjacielski dla wielu dom razem z siostrą Wandą Rzeszowską, która już w 1945 roku wróciła w rodzinne progi po perypetiach okupacyjnych, gdy przez 4 lata pod obcym nazwiskiem i różnych miejscach ukrywania się przed Gestapo. To przymusowe oddalenie się od założonej przed wojną rodziny spowodowało trudne do rozwiązania powikłania i ostatecznie odłączyły ją na stałe od męża i córki. Znalazła schronienie w domu rodzicielskim. Dom tych dwóch sióstr promieniował pogodą i niepodrabianą uprzejmością.

Leonia Ogrodzka łączyła inteligencję z wewnętrzną prawością. W jej stosunku do ludzi znać było kindersztubę i niezależnie z kim rozmawiała, odnosiła się do każdego z grzecznością wprawdzie zróżnicowaną, ale nienaganną. Uważała, że niegrzeczność, czasem tylko brak grzeczności uwłacza jej samej, więc pilnie strzegła zasad dobrego wychowania wpajanego jej od najmłodszych lat w domu i choć z biegiem czasu pewne cechy tego wychowania zostały zdeprecjonowane, ona się ich nigdy nie wyrzekła. Nawet w przyjaźni nigdy jej się nie zdarzyło uchybić w czymkolwiek drugiej osobie. Była czuła i delikatna w przyjaźni, w której nigdy nie zawiodła nikogo.

W stosunku do władz szkolnych odznaczała się taktem i dyskrecją. Szanowała tajemnice szkoły i umiała ich strzec. Jej dyskrecja była ugruntowana, zdobywała szacunek i sympatię każdego kto się z nią zetknął, a przede wszystkim szefów. Każdy nowy dyrektor liczył się przede wszystkim z jej doświadczeniem wieloletnim, znajomością ludzi, a tym samym z jej zdaniem. Poprawna w każdym calu umiała powiązać problemy i swoiste tajemnice szkoły, bo zawsze dobro szkoły miała na względzie. Wszystkie papiery, sprawozdania, a także buchalteria, którą prowadziła przez wiele lat także w Komitecie Rodzicielskim wszystko było w idealnym porządku. Odznaczała się znakomitą pamięcią we wszystkich sprawach, więc dla każdego ze zmieniających się dyrektorów była niezastąpiona.

Pogodna na ogół, żyła zawsze z odrobiną nadziei nawet w najcięższych chwilach życia politycznego rzadko upadała na duchu. Wychowana w patriotycznej i katolickiej rodzinie głęboko kochała Ojczyznę i uważała, że pracując uczciwie i z oddaniem pracuje również i dla Niej. Tak ją uczono w domu i szkole.

To rodzina i szkoła nauczyła ją postaw moralnych i społecznych, ukształtowała jej charakter, mogący być wzorem dla innych. Nigdy nie miała wątpliwości, po której stronie stać. Jej potrzebą życiową była praca, w której dążyła do perfekcjonizmu. Jej pojęcie o powinnościach i obowiązkach człowieka było surowe, lecz je stosowała głównie do siebie, co wynikało z jej głęboko pojętego życia chrześcijańskiego.

Pozostała w mojej pamięci jako człowiek prawy, mądry, wrażliwy i bezinteresowny.

Taką ją zapamiętałam.

Zofia Krokosz

Poniżej oryginalny fragment rękopisu Pani mgr Zofii Krokoszowej:

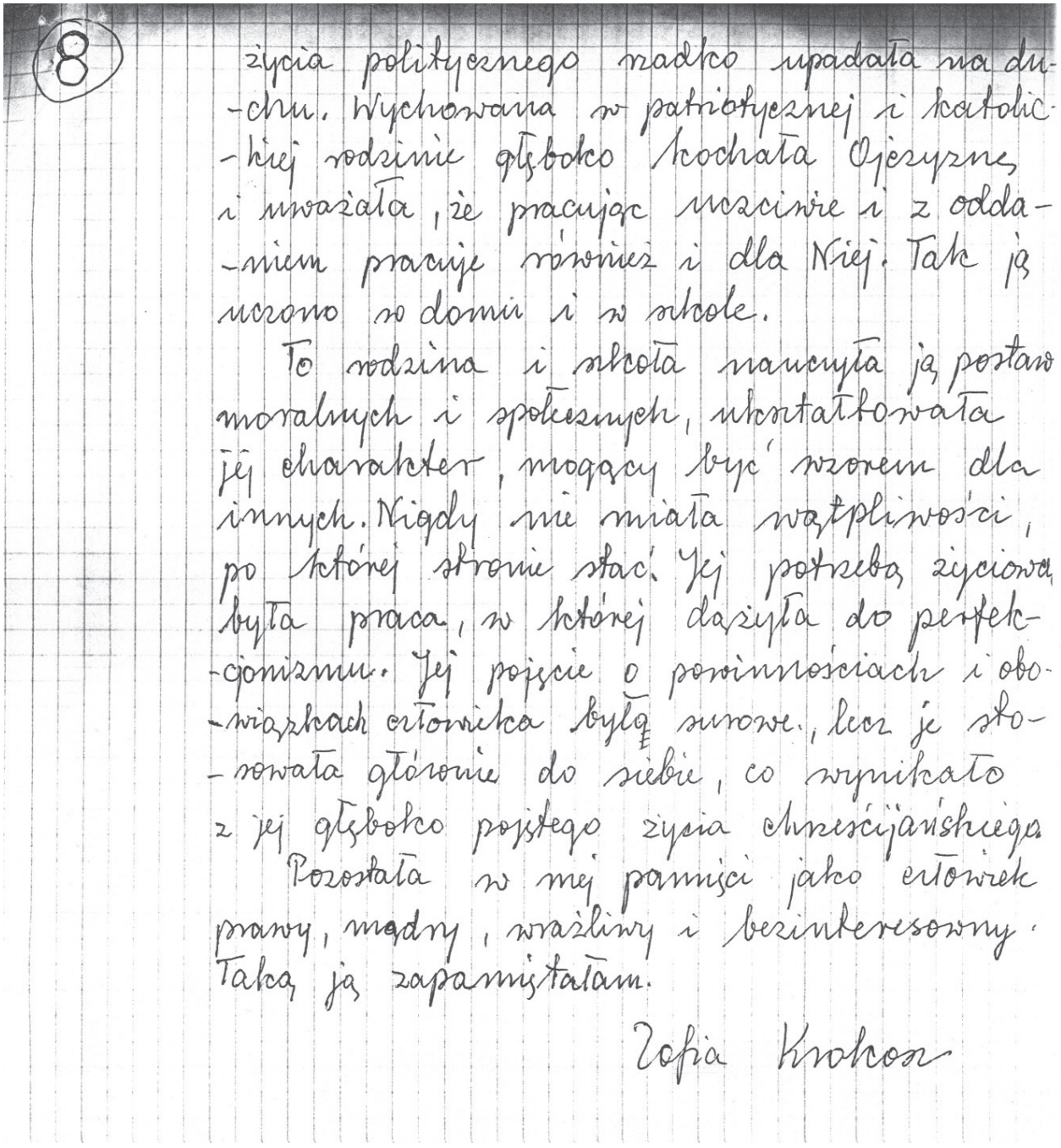

8

życia politycznego rzadko upadała na du-
-chu. Wychowana w patriotycznej i katolic-
-kiej rodzinie głęboko kochała Ojczyznę
i uważała, że pracując uczciwie i z odda-
-niem pracuje również i dla Niej. Tak ją
uczono w domu i w szkole.

To rodzina i szkoła nauczyła ją postaw
moralnych i społecznych, ukształtowała
jej charakter, mogący być wzorem dla
innych. Nigdy nie miała wątpliwości,
po której stronie stać. Jej potrzebą życiową
była praca, w której dążyła do perfek-
-cjonizmu. Jej pojęcie o powinnościach i obo-
-wiązkach człowieka były surowe, lecz je sto-
-sowała głównie do siebie, co wynikało
z jej głęboko pojętego życia chrześcijańskiego.

Pozostała w mej pamięci jako człowiek
prawy, mądry, wrażliwy i bezinteresowny.
Taką ją zapamiętałam.

Zofia Krokos

Pani Zosia Krokoszowa tekst powyższy o swojej przyjaciółce Niusi Ogrodzkiej przekazała na moje ręce 19.lutego 1996roku.

Dołączam do tekstu Pani Zofii Krokoszowej moje serdeczne wspomnienia o Pani Leonii Ogrodzkiej.

Kiedy 1 sierpnia 1972 roku podejmowałam pracę sekretarki w Liceum spotkałam się z Panią Niusią po raz drugi. Wcześniej w latach 1958-1962 jako uczennica liceum miewałam z Nią sporadyczne kontakty. Do pracy w liceum przyszłam przenosząc się z Sądu Powiatowego w Olkuszu. Przekonali mnie do tego mój mąż i z-ca dyrektora szkoły Włodzimierz Tyboń, mój dawny nauczyciel fizyki, który znał mnie dobrze. Ponieważ Pani Niusia odchodziła na emeryturę dyrekcja szkoły chciała, jak to Włodek określił ,mieć kogoś „swojego" na jej miejsce. Odpowiadało dyrekcji szkoły to, że byłam żoną ich kolegi, a także to ,że pracując w sądzie miałam odpowiednie przygotowanie.

Przez cały sierpień Pani Niusia cierpliwie i fachowo wprowadzała mnie w tajniki specyficznej pracy w szkole. Byłam Jej, jak to określiła „ostatnią uczennicą". Od pierwszych dni mojej pracy polubiłyśmy się bardzo. Będąc ostatni dzień sierpnia w pracy Pani Niusia przy pożegnaniu, powiedziała mi: „że bardzo żałuje, iż nie poznałyśmy się wcześniej". Było to dla mnie miłe zaskoczenie, bo wiedziałam (z opowiadań) że była osobą niezwykle wymagającą i ostrożną, zwłaszcza, że w pierwszych dniach mojej z Nią pracy, wyraźnie czułam jak mnie obserwuje, zachowuje dystans i rezerwę. Nasza sierpniowa znajomość wkrótce przerodziła się w przyjaźń. Mając wątpliwości w pewnych zawiłościach związanych ze sporządzaniem, czy odszukiwaniem dokumentów (zwłaszcza archiwalnych) odwiedzałam Panią Niusię w domu. I to był początek naszej przyjaźni.

Bywałyśmy u siebie dość często. Polubiła moją liczną rodzinę, nasze dzieci i atmosferę naszego domu. Ja u niej szukałam spokoju, ciszy i doświadczenia, ona w naszej rodzinie ciepła i serdeczności.

Nauczyła mnie nie tylko specyficznej pracy szkoły - wprowadzając w jej tajniki i zawiłości, ale także przekazała mi wiele ciekawych historii, wydarzeń i tajemnic.

W okresie okupacji niemieckiej wykazała się niezwykłą odwagą – przechowując dokumentację szkoły.

Kochała szkołę, jej atmosferę i kontakt z młodzieżą – udowodniła to m.in. tym gdy w lutym 1945 roku porzuciła pewną i dobrze płatną pracę w Magistracie, by z wielkim oddaniem włączyć się w wir pracy organizacyjnej szkoły. Pracowała jako sekretarka w zimnym, nieopalanym korytarzu przy świecach. Wyszukiwała ławki i meble po starych poniemieckich schronach. Starała się dosłownie o wszystko: papier, atrament, kredę, krzesła, książki. Zajęcia szkolne jak wspominała rozpoczęto już w marcu 1945 roku.

Pani Leonia Ogrodzka była osobą starannie wykształconą (biegle znała dwa języki: niemiecki i francuski), znała się fachowo na księgowości, była niezwykle oczytana, posługiwała się piękną polszczyzną, ciekawie i barwnie opowiadała – chciało się jej słuchać. Serdeczna, taktowna i pogodnamimo tego że los jej nie oszczędzał, zachowała pogodę ducha . Była kobietą niezwykłą – majestatyczną i pełną godności. Nigdy już potem nie spotkałam tak wyjątkowej osoby.

Kiedy była już chora i czuła, że odchodzi prosiła mnie o jedno: „zapal Tosiu czasem lampkę na moim grobie, bo nie mam już nikogo bliskiego".

Staram się – pamiętam.

Antonina Januszek

Kilka dokumentów z archiwum szkolnego.

Kuratorium
Okręgu Szkolnego Kieleckiego
w Kielcach

Dnia 7 grudnia 1945r.
Nr.OPers/13378/45

Sprawa ob. Leonia Ogrodzka- mianowanie.

W/Z

Ob. Leonia Ogrodzka
sekretarz adm. Państwowego Liceum i Gimnazjum Koedukacyjnego
w Olkuszu

Na zasadzie art. 17 ustawy z dnia 17.II. 1922r. o państwowej służbie cywilnej /Dz.U.R.P.Nr.21,poz.164/ zmienionej późniejszymi ustawami i rozporządzeniami, w szczególności rozporządzeniami Prezydenta R.P. z dnia 17.X.1932r. z dnia 28.X.1933r. i dekretem P.K.W.N z dnia 27 grudnia 1944r./Dz.U.R.P.Nr.87,poz.737 z 1932r. i Nr.86; poz.661 z 1933r.Nr.16,poz.89 z 1944r./ - mianuję Obywatelkę z ważnością od dnia 1 marca 1945r. prowizorycznym sekretarzem administracyjnym w Państwowym Liceum i Gimnazjum Koedukacyjnym w Olkuszu w X/dziesiątej/ grupie uposażenia.

Celem objęcia obowiązków służbowych winna Obywatelka zgłosić się w Dyrekcji Państw. Liceum i Gimnazjum Koedukacyjnym w Olkuszu.-

Data objęcia służby

.....1.III.1945r.....

Za Kuratora Okręgu Szkolnego

/J. Jakobsche./
Naczelnik Wydziału

Dyrekcja Państw. Liceum
i Gimnazjum Koed.
w Olkuszu.

do wiadomości i doręczenia dekretu mianowania zainteresowanej.

1 zał.

Kierownik Oddziału Personalnego

/Mgr.A. Kamiński./

Państwowe Liceum i Gimnazjum Koedukacyjne
w Olkuszu
weszło dnia 20. III. 1945
Nr. 1892 zał. 1.-

OKRĘG SZKOLNY
KRAKOWSKI

Nr rejonu .....

WYCIĄG

z dokumentów służbowych i osobistych

I. Nazwisko i imię Ogrodzka Leonia, córka Władysława

II. Stanowisko służbowe sekretarz

Stopień organizacyjny szkoły —

III. Data i miejsce urodzenia 23. IV. 1901 r.

IV. Narodowość polska

V. Stan rodzinny (kawaler, żonaty, wdowiec, rozwiedziony) niezamężna

VI. Stanowisko męża (żony) —

VII. Ilość dzieci na utrzymaniu —

(Imiona i daty urodzenia) .....

VIII. Wykształcenie ogólne zasadnicze (Seminarium) ósmio klasowe Gimnazjum Żeńskie
Kasy polskiej Macierzy Szkolnej w Orkusie

IX. Kwalifikacje zawodowe —

X. Przebieg służby państwowej do dnia 1. XI. 1918 r.

Data faktycznego pełnienia obowiązków służbowych od — do	Charakter służbowy. Nazwa i miejsce szkoły	Data i liczba dekretu nomin. Nazwa władzy	Zaliczono przez: w ilości

XI. Przebieg służby państwowej polskiej od 1. XI. 1918 r. podlegającej ustawie z 1. VII. 1926 r. o stosunkach służbowych nauczycieli (Dz. U. R. P. nr 92, poz. 530)

Czas pełnienia obowiązków służbowych od — do	Charakter służbowy. Miejsce i nazwa szkoły	Data i liczba dekretu nomin. Nazwa władzy	Okresy czasu niepoliczal. do służby czynnej
1.9.1931 r. – 1.9.1939 r.	sekretarz Olkusz państwowe Lic. i Gimnazjum w Olkuszu		

XII. Przebieg pracy zawodowej w okresie okupacji w jawnym szkolnictwie od 1. IX. 1939 roku do 31. XII. 1944 r.

Okres czasu od — do	Rodzaj zajęcia Ilość godzin nauczania tygodniowo	Nazwa urzędu Data i liczba pisma nominacyjnego	Uwagi
4.XI.1940 – 1.II.1944	w buchalterii i jako tłómaczka w Magistracie m. Olkusza		

XIII. Przebieg państwowej służby nauczycielskiej po dniu 1. I. 1945 r. (jako termin początkowy podać datę faktycznego objęcia obowiązków służbowych)

Czas pełnienia od — do	Charakter służbowy Miejsce i nazwa szkoły	Data i liczba dekretu nomin. Nazwa władzy	Uwagi
1. II. 1945 nadal	Sekretarz w państw. Liceum i Gimnazjum w Olkuszu.		

XIV. Grupa uposażenia w dniu 1. VIII. 1939 r. .....

(Liczba i data dekretu zaszeregowania lub później wydanego rozporządzenia w tej sprawie) .....

.....

Nazwa Kuratorium Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego w Krakowie

XV. Urlopy bezpłatne w ciągu całej służby —

Przerwy w służbie (od — do, powód) —

Prawdziwość podanych szczegółów stwierdzam własnoręcznym podpisem, biorąc na siebie pełną odpowiedzialność sądowo-karną za fałszywe, niezgodne z prawdą przedstawienie dat i faktów.

W Olkuszu, dnia 15. X 194 7.

Ogrodzka Leonia
Podpis wypełniającego arkusz

Stwierdzam, że sprawdziłem powyższe dane z oryginalnymi dokumentami

ob. Ogrodzka Leonia

Podpis kierownika szkoły

Pieczęć

Stwierdzam wiarygodność powyższych danych

ob. .....

W ....., dnia .....

S l u b o w a n i e

Pomny dobra Rzeczypospolitej Polskiej slubuję, że na powierzonym mi stanowisku urzędowym przyczyniac się będę w mym zakresie działania ze wszystkich sił do ugruntowania wolnosci, niepodległosci i potęgi demokratycznego Panstwa Polskiego, ktoremu wiernie służyc będę.
Slubuję stac na straży konstytucji z dnia 17 marca 1921 r. oraz praw stanowionych przez Krajową Radę Narodową jako Naczelną Władzę Ustawodawczą Odrodzonego Panstwa Polskiego.
Slubuję obowiązki urzędu mego spełniac gorliwie i sumiennie, polecenia mych przełożonych wykonywac dokładnie, tajemnicy urzędowej przestrzegac, a w postępowaniu swoim kierowac się zasadami honoru, uczciwosci i rownosci społecznej.-

Olkusz, dnia 3. Kwietnia 1948 r.

Państwowe Liceum i Gimnazjum Koedukacyjne w Olkuszu

Ogrodzka Leonia

KURATORIUM OKRĘGU SZKOLNEGO KRAKOWSKIEGO W KRAKOWIE

Kraków, dnia 4. czerwca 1948r.

Nr.O.Pers. 22581/48.

Sprawa: Ob. Ogrodzka Leonia - zmiana grupy uposażenia.

Dyrekcja Państw. Liceum i Gimnazjum Koedukacyjnego
w Olkuszu

Kuratorium przesyła 2 załączone pisma Kuratorium Okręgu Szkolnego Kieleckiego w Kielcach, celem doręczenia zainteresowanej za potwierdzeniem odbioru, które tu należy przesłać .

Trzeci załącznik zechce Dyrekcja zatrzymać w aktach Zakładu

wz.Kierownika Oddz.Personalnego:
(M.Chrapińska).
radca Kuratorium.

załączniki 3.

Państwowe Liceum i Gimnazjum Koedukacyjne w Olkuszu
wpłynęło dnia 7. VI. 1948 r.
Nr. 433 zał. 1.-

Popraw. mianowanie z przeszeregowaniem do gr. VIII-mej - otrzymałam dn. 7.VI.1948 r.
L. Ogrodzka

O d p i s

Kuratorium Okręgu Szkolnego Kieleckiego w Kielcach.Dnia 7 grudnia 1945 r. Nr.O.Pers/13378/45.Sprawa Ob.Leonia Ogrodzka - mianowanie.Ob.Leonia Ogrodzka sekretarz adm.Państwowego Liceum i Gimnazjum Koedukacyjnego w Olkuszu. Na zasadzie art.17 ustawy z dnie 17.II.1922 r. o państwowej służbie cywilnej /Dz. U.R.P. Nr.21,poz.164/ zmienionej późniejszymi ustawami i rozporządzeniami, w szczególności rozporządzeniami Prezydenta R.P. z dnia 17.X.1932 r. z dnia 28.X.1933 r. i dekretem P.K.W.N z dnia 27 grudnia 1944 r./Dz.U.R.P. Nr.87,poz. 737 z 1932 r. i Nr.86 poz.661 z 1933 r.Nr.16,poz.89 z 1944 r./-mianuję Obywatelkę z ważnością od dnoa 1 marca 1945 r. prowizorycznym sekretarzem administracyjnym w Państwowym Liceum i Gimnazjum Koedukacyjnym w Olkuszu w X/dziesiątej/grupie uposażenia.Celem objęcia obowiązków służbowych winna Obywatelka zgłosić się w Dyrekcji Państw.Liceum i Gimnazjum Koedukacyjnym w Olkuszu.Data objęcia służby:1.III.45r.Za Kuratora Okręgu Szkolnego :/J.Jakobsche/Naczelnik Wydziału.Dyrekcja Państwow.Liceum i Gimnazjum Koed.w Olkuszu do wiadomości i doręczenia dekretu mianowania zainteresowanej. 1 zał.Kierownik Oddziału Personalnego : /-/Mgr.A.Kamiński.

Zgodność powyższego odpisu
z oryginałem stwierdzam.-

DYREKTOR

/ Wilczynski Stanisław /

Olkusz, 4. XII. 1958 r.

Olkusz,dnia 9 maja 1961 r.

Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego

w Krakowie

przez Dyrekcję Liceum Ogólnokształcącego w Olkuszu.

W Liceum Ogólnokształcącym w Olkuszu pracuje już przeszło 30 lat na stanowisku sekretarza i księgowego. Obecnie wobec złego stanu zdrowia nie jestem w stanie podołać ciężkiej i wyczerpującej pracy jaka została mi dodatkowo przydzielona od 1.I.1961 roku /księgowość budżetowa 2 internatów/ bez żadnej dopłaty.
Wobec czego proszę o zwolnienie mnie ze stanowiska księgowego z dnie 31 sierpnia 1961 r.,a pozostawienie mnie na pełnym etacie sekretarza w najwyższej grupie uposażenia z zaliczeniem mojej długoletniej i ni naganne pracy w szkole,co również ostatnio /w lutym 1961 roku / stwierdził St.Inspektor Kontroli KOSK. Ob.Antoni Żukowicz.-
Obecne moje wynagrodzenie wynosi kwotę Zł.1.400.- wg.IV gr. uposażenia.-

Ogrodzka Leonia

/Ogrodzka Leonia -st.księgo
w Liceum Ogólnokształcącym
w Olkuszu.

Oryginał do KOS

KWESTIONARIUSZ OSOBOWY

Miejsce na wklejenie fotografii

1. Dane ogólne

a) nazwisko i imię imię ojca — a) Leonia Ogrodzka Władysław

b) nazwisko panieńskie (dla mężatek) — b) —

c) w przypadku zmiany podać nazwisko rodowe — c) —

2. Data i miejsce urodzenia 22.IV.1901 r w Chęcinach

3. Narodowość	4. Obywatelstwo	5. Pochodzenie społeczne	6. Stan cywilny	7. Stan rodzinny
Polska	Polskie	intel. pracująca	niezamężna	—

8. Wykształcenie (podać nazwy zakładów naukowych)

8-mio klasowe Gimnazjum Żeńskie Koła Polskiej Macierzy Szkolnej w Olkuszu.

9. Stopień (tytuł naukowy) —

10. Tytuł zawodowy sekretarka

11. Zawód			
—	prac. umysłowy	—	sekretarka
wyuczony	wykonywany	specjalność wyuczona	specjalność wykonywana

12. Znajomość języków obcych: j. francuski, łacina — słaba; język niemiecki — biegła w mowie i piśmie

13. Służba wojskowa:

a) stosunek do powszechnego obowiązku wojskowego (przedpoborowy — poborowy — szeregowiec, podoficer, oficer rezerwy — objęty ewidencją oficerską — (pomocnicza służba wojskowa kobiet) — nie podlega powszechnemu obowiązkowi wojskowemu — a) —

b) stopień wojskowy i nr specjalności wojskowej — b) —

c) przynależność ewidencyjna do WKR — c) —

14. Posiadanie odznaczenia (jakie i kiedy nadane):

1. Srebrny Krzyż Zasługi
2. Dyplom z okazji 20-tej Rocznicy Wyzwolenia Ziemi Olkuskiej oraz nieprzerwanej i owocnej pracy w Liceum Ogólnokszt. w Olkuszu

15. Stan majątkowy (nieruchomości, urządzenia handlowe i przemysłowe):

nie posiada	—
własny	współmałżonka

16. Czy był karany sądownie (nie podaje się kar, które uległy zatarciu)

nie byłam karana sądownie

17. Przynależność do organizacji politycznych i społecznych w okresie:

a) do 1939 r.	b) okupacji	c) po wyzwoleniu
—	—	—

18. Przebieg pracy zawodowej:

Okres od*)	Okres do*)	Nazwa zakładu pracy	Stanowisko	Miejscowość
1.VI.1922	1931 r.	Bank dla Handlu i Przemysłu w różnych		
—	—	oddziałach	pomoc. księgowego	Olkusz Katowice
1.IX.1931	dnia dzis.	w Liceum Ogólnokształcącym		
		im. Króla Kazimierza W. w Olkuszu	księgowa i sekretarka	Olkusz

19. Dokładny adres zamieszkania Olkusz ul. Sławkowska Bl. 7d/12

*) podać miesiąc i rok

Olkusz, 19/I 1972 r.

Miejscowość i datą

Leonia Ogrodzka

Podpis składającego kwestionariusz

Rze 2563/70 A4 400 000

Liceum Ogólnokształcące
im. Króla Kazimierza Wielkiego
w Olkuszu

Olkusz, dnia 30 maja 1972 r.

Nasz znak : Nr 472/III/72

Ob. Leonia Ogrodzka
Sekretarka Liceum Ogólnokształcącego

w Olkuszu

W związku z zarządzeniem Nr 6 Prezesa Rady Ministrów z dnia 11.I.1968 r. w sprawie przenoszenia pracowników na emerytur którzy spełniają warunki dla uzyskania zaopatrzenia emerytalnego Dyrekcja Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu rozwiązuje z Obywatelką stosunek służbowy z dniem 31 sierpnia 1972 roku.

Jednocześnie Dyrekcja Liceum wyraża Obywatelce podziękowanie za długoletnią i uczciwą pracę dla tut. Szkoły.

DYREKTOR
mgr Franciszek Lisowski

Otrzymałam dn. 30.V.72
L. Ogrodzka

V. Moje drogi, zdroża i wojaże

Bogumił Bigaj

Wstęp, czyli moja droga... Rodzinka

Droga – słowo to ma wiele znaczeń, znaczeń dosłownych i przenośnych, kontekstów przerozmaitych. Sugerowany przez p. prof. Józefa Januszka, mojego Wychowawcę (któremu dziękuję za zmobilizowanie mnie do spisania tych wspomnień), tytuł *Moje podróże* zawiera się więc chyba w tym powyższym, rozszerzonym i zmodyfikowanym przez uwydatnienie dróg, a wyraz „droga", choć w innym znaczeniu, trafił i do tych tu wstępnych uwag na temat więzów krwi. Ale przecież nie w nazwach sprawa, przechodźmy więc do rzeczy:

Droga **moja** rozpoczęła się dokładnie w miesiąc po zawieszeniu czerwonej flagi[2] na gruzach Reichstagu. A więc 10 czerwca 1945 roku nad ranem, przy pomocy, jak ją nazywano, Babki Grześki, wiejskiej akuszerki, udało mi się przyjść na ten, już powojenny świat. Po moich, asystowała ona jeszcze przy narodzinach pięciorga młodszych rodzeństwa, dzieci Zofii ze Śmigielskich i Franciszka (z matki Bartyzel) Bigajów, zamieszkałych w podolkuskim siole Kosmolów. Zresztą przy pięciorgu starszych przede mną, asystowała podobno taż sama Babka. Jak więc nietrudno policzyć, mam dziesięcioro rodzeństwa, sam figurując pośrodku tej gromadki.

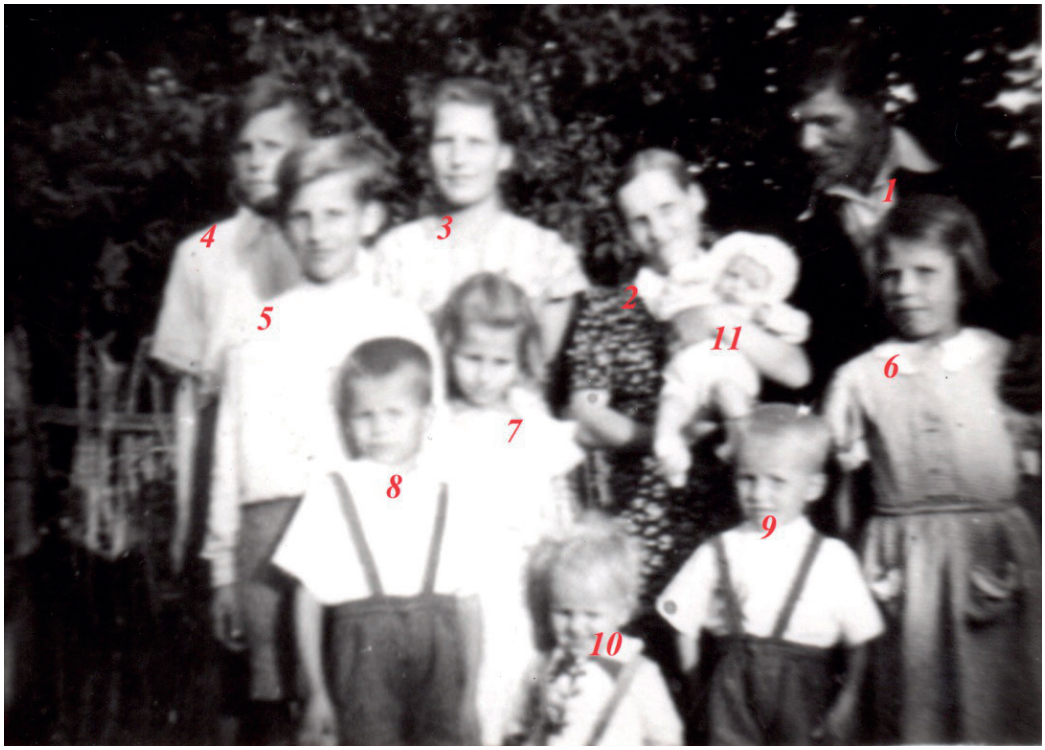

1 Franciszek (ojciec), ur. 1907r.
2 Zofia (matka) ur. 1913r.
3 Magdalena ur.1934r.
4 Marian (ksiądz) ur.1936 r.
5 Jan ur.1938r.
6 Marianna ur.1940r.
7 Teresa ur.1943 r.
8 Bogumił ur.1945 r.
9 Stanisław ur. 1947 r.
10 Antoni ur. 1949 r.
11 Wanda ur. 1951 r.

Wanda ma kilka miesięcy, więc to zdjęcie zostało zrobione w 1951r.

2 Była tam podobno i bialo-czerwona, ale nie ona, lecz tamta czerwona, na której widniał sierp i młotek, dwa w gruncie rzeczy proste, siermiężne i użyteczne narzędzia, zawisła złowrogo nad moim i mojego pokolenia życiem, o czym szerzej w następnych rozdziałach.

Na pogrzebie naszej Mamy, w 1999 roku, ówczesny proboszcz parafii kosmolowskiej, ksiądz Tadeusz Maj[3] powie: „Żegnamy parafiankę, do której najwięcej dzieci zwracało się słowem «Mamo»". Dziwne, ale właśnie to zdanie zapamiętałem z tych smutnych uroczystości. Rodziny wielodzietne nie były czymś nadzwyczajnym w tamtych czasach, ale myślę, że żadna nie może poszczycić się tym, że sześcioro dzieci (czyli więcej niż 50% z owej jedenastki) w drodze po edukację przekroczyło progi Liceum Ogólnokształcącego w Olkuszu. Nie podaję numeru, bo w tamtych czasach było to jedyne w tym mieście liceum, w dodatku z niezrozumiałych dla mnie powodów nie mówiło się (albo ja nie pamiętam) o Patronie Szkoły, Wielkim Kazimierzu.

Na ciekawostkę zakrawa, że troje z tej szóstki, posiadających dyplomy maturalne z pieczęcią naszej Alma Mater, rozpoczynało naukę w innych miastach: Maria (vel Marianna) w Tarnowie, Bogumił (czyli ja) w Wieliczce, Antoni (Tolek) w Ustrzykach Dolnych. Pozostała zaś trójka rozpoczęła naukę w Naszym Liceum, ale ukończyła w innych: Magdalena w Technikum Mechanicznym w Olkuszu, Marian tamże, Wanda w Technikum Budowlanym w Nowej Hucie. Ergo, można powiedzieć słowami kabaretowej piosenki: „bilans musiał wyjść na zero!"

Kilka słów o każdym z nas, kto choćby na krótko związał swoje młode życie licealisty z (tu już oficjalna nazwa) I Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Kazimierza Wielkiego w Olkuszu:

- Magdalena (później Usieniowa), ur. 1934, przeniosła się do nowootwieranego Technikum Mechanicznego na ul. Górniczej, po rozmowie przeprowadzonej z dyr. W. Konopackim. Notabene Madzia i Ala Gniewczyńska, przybrana córka miejscowego profesora, były jedynymi dziewczynami w męskiej klasie. Po maturze, z nakazem pracy do tarnowskiego TAMEl-u, w towarzystwie przyjaciółki Ali z jej rodzicami, nasza siostra wyjechała na stałe do tego pięknego miasta, gdzie dopracowała do emerytury. Obecnie przebywa w Australii, gdzie też mieszkają jej dwaj synowie z rodzinami. W Tarnowie pozostała tylko córka Marzena ze swoją rodziną.

- Marian, ur. 1936, śladem starszej siostry, przeszedł do Technikum Mechanicznego, po ukończeniu którego otrzymał nakaz pracy do Wierbki k. Pilicy. Potem wojsko, szkoła podoficerska w Białymstoku, awans na kaprala, służba w jednostce saperów we Wrocławiu, i niestety, długotrwały pobyt w szpitalu wojskowym, a następnie... Seminarium Duchowne i święcenia kapłańskie. Pracę duszpasterską zakończył ks. Marian jako kapelan Ośrodka Lecznictwa Odwykowego w Gorzycach na Śląsku[4].

- Wanda, ur. 1951, z powodu nieporozumień z małżeństwem nauczycielskim S. opuściła Liceum i przeniosła się do Technikum Budowlanego w Nowej Hucie, po ukończeniu którego pracowała w swoim zawodzie w Olkuszu, gdzie do dziś mieszka. Czworo jej dzieci rozproszyło się po Europie: Niemcy, Anglia, Irlandia, Polska (Warszawa). Jako emerytka, oprócz niańczenia wnuków zajmuje się pracami społecznymi, przykościelną działalnością charytatywną, i... pisze wiersze. Jeden z nich zamieszczam obok.

3 Niedawno uzyskałem informację od koleżanki z klasy, Tosi Lorek (obecnie Pani Januszkowej), że właśnie u ks. Tadeusza Maja, w katakumbach zarządzanego przez niego kościoła w Kosmolowie, w złych dniach (raczej nocach) niechlubnego stanu wojennego odbywały się pod osłoną nocy spotkania zakazanej „Solidarności". Zwracam się „z tego miejsca" do organizatorów tamtych spotkań o szerszy komentarz, lub nawet oddzielny artykuł dotyczący jakże ważnej, a może powoli zapominanej historii

4 Niestety, w trakcie pisania tych wspominków, zmarł brat Marian i jest pochowany na cmentarzu parafialnym w Kosmolowie.

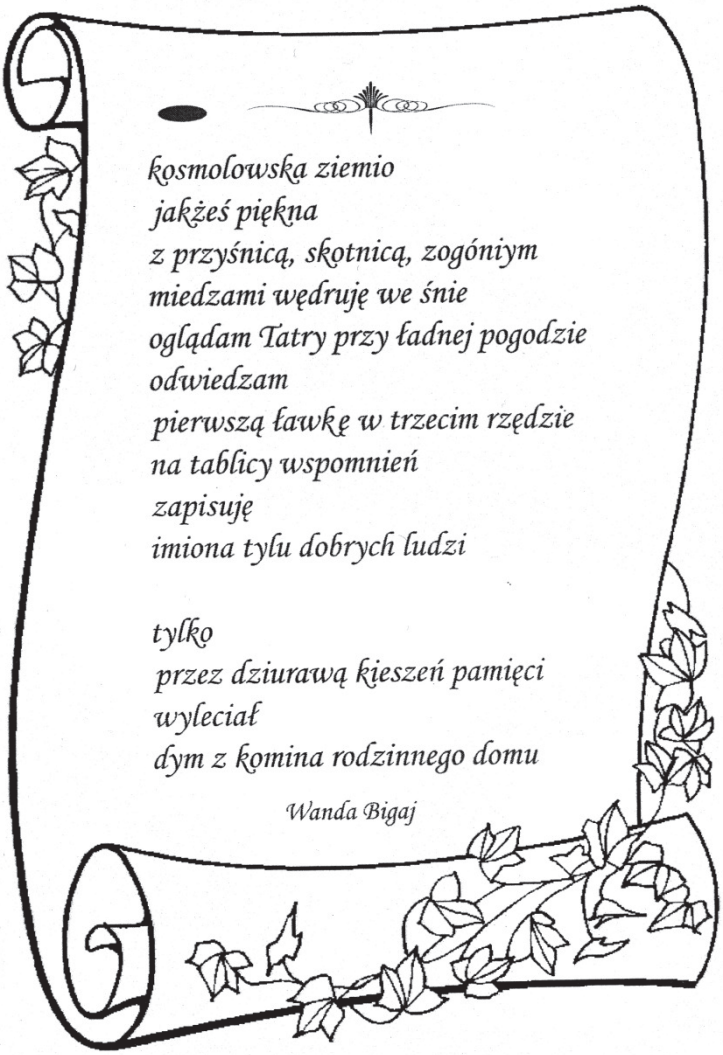

A teraz nasi abiturienci:

- Maria (właściwie Marianna) Łacek, matura 1958. Po ukończeniu kierunku geografii na WSP w Krakowie, gdzie była laureatką Czerwonej Róży (dyplomu dla najlepszej studentki) i otrzymywała stypendium naukowe, uczyła geografii w krakowskich szkołach średnich, w tym w słynnym Nowodworku. Wyjazd do Australii na badania naukowe z geomorfologii okazał się wyjazdem na stałe. Obecnie emerytowana nauczycielka... języka angielskiego klas maturalnych Nowej Południowej Walii. Uhonorowana państwowymi odznaczeniami australijskimi, aktywna w tamtejszej polonii, odnosi sukcesy jako tłumaczka literatury australijskiej na język polski. Jej córka, Ewa jest wykładowczynią języka angielskiego w... Katowicach. A trzej synowie pracują w międzynarodowym biznesie w Stanach Zjednoczonych, Anglii i w Polsce. Czytelnicy zapewne znają jej publikacje i korespondencję z prof. J. Januszkiem na łamach Zeszytów Historycznych.

- Bogumił (piszący niniejsze), matura 1962. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Kielcach, przez dwa lata (kl. VIII, IX) uczyłem się w Liceum OO Reformatów (Franciszkanów) w Wieliczce. Dyrektor S. Wilczyński przyjął mnie do X-tej klasy, ale wszak (pamiętacie tę ulubioną wstawkę zacnego profesora?) pod warunkiem zdania egzaminu z materiału programowego, ponieważ szkoła tamta nie miała uprawnień państwowych. W praktyce pan Dyrektor, w obecności prof. W. Konopackiego (chyba wówczas wice-Dyrektora) przeprowadzili ze mną coś jakby rozmowę kwalifikacyjną na różne tematy z różnych przedmiotów i orzekli, że nazajutrz, tj. 1 września 1960 r. mam się zgłosić do klasy Xa, której wychowawcą był mgr Józef Januszek, młody nauczyciel mojej ulubionej matematyki. Jak się później okazało, również znakomity pedagog, przezacny człowiek i przyjaciel młodzieży. Równocześnie

ze mną przyjęto jeszcze jednego „nowego", Andrzeja Kamionkę, ku utrapieniu którego posadzono nas w jednej ławce. Prof. Konopacki miał zaś wkrótce (od zimy 1960/61) zostać moim wychowawcą jako kierownik internatu na ul. 1 Maja 63 (obecnie Króla Kazimierza Wielkiego). Czas mojej nauki w Olkuszu postaram się opisać szczegółowiej na dalszych stronach.

- Antoni (zwany Tolek), matura 1965. W cuglach dostał się na AGH i do akademika na Miasteczko Akademickie. Bardzo mocny z matematyki (też uczeń p. prof. J. Januszka), uczynny i aktywny, szybko otrzymał stypendia: najpierw socjalne, a potem tzw. fundowane z ZNTK w Bydgoszczy. Tam też pracuje do dziś, obecnie jako prezes wielkiej, polsko-niemiecko-ukraińskiej spółki. Hobbystycznie jest kapitanem żeglugi wielkiej z tytułem komandora. Mieszka z żoną w super domku pod Bydgoszczą. Ich córka Iza osiadła w pobliżu, a syn Irek, elektronik, po ukończeniu śladem ojca tejże AGH, pozostał z rodziną w Krakowie.

Jubileusz 75-lecia Liceum w Olkuszu. Od lewej: Antoni Bigaj (matura 1965), mgr Józef Januszek, Bogumił Bigaj(matura 1962).

Na koniec tej wyliczanki muszę wymienić brata Janka, ur. 1938, który ominął progi naszej Szkoły tylko na skutek „zmowy" rodziców ze szkolnym prefektem, ks. R. Grzymałowskim, czego efektem było miękkie lądowanie niezwykle uzdolnionego 12-latka w Niższym Seminarium Duchownym w Kielcach. Księdzem nie został, twierdzi, że zrobił miejsce starszemu bratu, Marianowi. Poprzez Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu (filologia klasyczna) i Uniwersytet Warszawski (filozofia), pracę w szkołach średnich i wyższych na Podkarpaciu, a także pracę stricte naukową, uzyskał stopień doktora filologii klasycznej, a ostatnio już jako emeryt habilitował się z metafizyki Arystotelesa. Ponieważ niniejsze wspominki piszę pod kątem naszego Liceum w okresie jubileuszu stulecia jego chwalebnego istnienia, muszę się wytłumaczyć, jakież to były kontakty tego mojego brata z Liceum, skoro do niego nie uczęszczał, aby nie wyglądało, że chcę się tylko pochwalić mądrym bratem. To także, nie przeczę! Niemniej do budynku na ul. (tfu) Bolesława Bieruta przybył Jan jednego przedwiosennego dnia 1962 roku, aby mnie zwolnić z ostatniej lekcji, zabrać na miasto i sprawić mi porządne wyjściowe buty, spodnie i bielutką jak śnieg nonironową koszulę. Do dziś nie wiem, skąd ubogi student miał tyle kasy, choć jednak na kupno całego garnituru mu nie starczyło. A przecież zbliżała się matura. Do zdjęcia dyplomowego paradowałem więc w marynarce pożyczonej od współmieszkańca z internatu, Kazika Kosiniaka, który był podobnej mi postury, a przy tym zawsze uczynny.

Ponownie, mam nadzieję nie ostatni raz, spotkał się mój braciszek Jan z Naszą Klasą w maju 2013 przy ognisku w Łazach, po nieco przypadkowym zaproszeniu na naszych comiesięcznych herbatkach

przy ul. Sławkowskiej. Marzy mi się, że po odbiorze, jeśli już nie nagrody Nobla (udało mu się odcyfrować słynny, tajemniczy Dysk z Fajstos!), to nominacji profesorskiej z rąk prezydenta RP, spotka się znów z nami przy lampce wina. Wówczas już na pewno ustalą z Krysią T., jak to było z tym mieszkaniem na stancji u pani Trzcionkowskiej w zimie 1950 roku. Czy to ona, 6-letnia panna o wielkich oczach zaśmiewała się do łez z różnych zagadek i żarcików 11-letniego „studenta" SP na Piaskach (w Kosmolowie były tylko 4 klasy; latem chodziło się te 7 km do Olkusza pieszo). Że to było dawno i może nieprawda? Że to nie Szpitalna, tylko 1 Maja. Hmm! A jakie to ma znaczenie? Pewne jest, że sześcioletnie dziewczynki o wielkich oczach i takichże lokach potrafią się tak pięknie śmiać. Pewne jest także, że do kolegów klasowych małego Jasia B. należał brat Małgosi W., Zdzisio, o którym będzie jeszcze mowa, a także kilku innych znanych w środowisku, i jakoś związanych z Naszą Szkołą, jak np. Adaś Kołacz czy Andrzej Homa.

Drogi życiowe pozostałej czwórki mojego rodzeństwa ominęły progi tej wyjątkowej Szkoły, w przeciwnym razie na pewno wystąpiłbym o odnośny wpis do Księgi Guinessa. A więc tak:

- Teresa, ur. 1943, po kilkuletnim pobycie u sióstr M. B. Miłosierdzia, podjęła trud założenia rodziny świeckiej. Zamężna za synem sołtysa, Staszkiem Malisiakiem osiadła w jego rodzinnych Pracach Dużych koło Warszawy. Synowie, Grzegorz i Wojtek uradowali ją trójką wnucząt. Siostra pełniła różne funkcje społeczne: była wieloletnią sołtyską wsi, szefową Gospodyń Wiejskich, ławnikiem w sądzie, itd. Swego czasu pisano o niej w lokalnej prasie, a raz czy dwa nawet w ogólnokrajowej: Przyjaciółka, Kobieta i Życie. Dziwne są te „Prace": do stacji metra niewiele kilometrów, samoloty już tu podchodzą do lądowania na Okęciu, a jednocześnie pobliskie Lasy Kabackie i Chojnowski Park Krajobrazowy sprawiają, że żeremia bobrowe prosperują znakomicie, a lisy, dziki, sarny podchodzą pod same okna. Coraz częściej są to dyskretnie okratowane okna willi i ukrytych za parkanami, osłoniętych parasolami sosen i świerków, małych dworków warszawskiej elity. Spotkasz tu szukających ciszy po szumie Stolicy polityków, artystów, beneficjantów przemian ustrojowych z pierwszych stron gazet. Zrozumiałe, że wszyscy oni kontaktowali się z miejscową władzą, sołtyską Malisiakową. W sąsiedniej Leśnej Polanie (gdzie przypadkiem brat Marian był kiedyś proboszczem!), jest np. ulica niezapomnianego Mieczysława Fogga, który tu mieszkał od 60-tych lat, a któremu czasem sam się kłaniałem bawiąc tam z rodzinnymi wizytami. Jeszcze gdzieniegdzie można tu spotkać małe, kryte strzechą chatki typowe dla mazowieckich biednych wiosek, ale na żal to już ostatni Mohikanie (nie słyszałem wszak o skansenie podobnym np. do sanockiego).

- Stanisław, ur. 1947. Od lat właściciel dobrze prosperującej piekarni w Jaworznie-Długoszynie, w moich internackich czasach dojeżdżał pociągiem do Szopienic (!), gdzie zdobywał cukierniczo – piekarskie wykształcenie. Przechodząc mimo wpadał nieraz do mnie do internatu z jakimś zakalcowatym ciastkiem ze swojej praktyki, albo z lepszej jakości wiktuałem podesłanym mi przez mamę z Kosmolowa. Stasio znał moich kolegów klasowych z internatu; Kazika, Andrzeja, Zenka, kłaniał się też grzecznie prof. Konopackiemu, który traktował go tu jak swego. Wraz z żoną, Elżbietą, dyrektorką miejscowej szkoły, dochowali się dwu córek: Joasi, która ukończyła studia pedagogiczne, oraz Lidki, która po ukończeniu Uniwersytetu Ekonomicznego i odpowiednich kursów, przejmuje biznes po ojcu. Obszerny artykuł pt. Zwykły, niezwykły – Stanisław Bigaj na rozkładówce gazety jaworznickiej Co Tydzień z września 1914 r. zgrabnie podsumowuje jego gospopdarczą i charytatywną działalność. Więcej o bratku Stasiu znajdzie Czytelnik w innych miejscach niniejszych wspominków.

- Wiesława, ur. 1953, jako najmłodsza z sióstr była przez Rodziców planowana do objęcia gospodarstwa. Posłano ją więc do szkoły rolniczej w Cianowicach, by fachowo przygotować do przejęcia dziedziny. A że niezbadane są wyroki Opatrzności, więc i z tych planów nic nie wyszło. Wiesia, pomna na przykazanie: „i porzuci niewiasta ojca i matkę, a pójdzie za mężem swoim" udała się do Jaworzna za Zygmuntem Nieużyłą, notabene Stasiowym szwagrem. Wiesia i Staś zamieszkali więc po sąsiedzku w Długoszynie. Po odchowaniu trójki potomstwa: Dominika (mojego chrześniaka), Marty i Andrzeja, najmłodsza siostra moja postanowiła... zrobić karierę naukową. Szybko złożyła maturę w Technikum Rolniczym w Giebułtowie. Potem nastąpiły studia pedagogiczne, specjalizacja w dziedzinie katechetyki i wiele lat pracy w miejscowych szkołach. Tym sposobem, niedoszła kosmolow-

ska gaździna dobrnęła do emerytury. A jej córa, Marta została dyrektorką szkoły, w której pracowała mama. Natomiast na opuszczonym wakacie następczyni tronu w Kosmolowie zasiadał był najmłodszy brat...

- Władysław, ur. 1959. Mimo że gospodarował już samodzielnie po śmierci Ojca w 1979 r., że ożenił się z Reginą Arakówną ze znanych nam już Prac Dużych, że wreszcie wydawało się naturalnym przejęcie przezeń gospodarstwa wraz z wielkim domem ufundowanym przez wuja Johna z Australii, to jednak przewrotny Los i tu pokazał swój pazur. Przy akceptacji „Rady Rodzinnej" Władzio zabrał żonę, dwójkę dzieci: Dawida i Urszulę, nieco ruchomego dobytku, i przeprowadził się do świeżo zakupionego przez siostrę Mariannę domku koło Niepokalanowa (tak, tego od św. Maksymiliana Kolbe!)[5]. Kolejni synowie, Kamil i Mariusz urodzili się już tam.

Na zakończenie tego wprowadzającego rozdziału chciałbym najpierw oddać głos koleżance, jednej z miss klasowych i świetnej polonistce, Agnieszce, która po latach, w ZH nr 13 opisuje incydent, jak to jeden z uczniów zasnął na lekcji języka polskiego, nie wymieniając go wszakże z imienia i nazwiska. Otóż z niejakim wstydem, ale okraszonym pewną dozą dumy przyznaję, że „nie chwalący się jam ci to był". Prawda, że na początku X klasy dojeżdżałem do szkoły rowerem, prawdą też jest, że w gospodarstwie zawsze pracy było sporo i mogłem być zmęczony. W ten jednak poniedziałek sytuacja była wyjątkowa, związana z uroczystością rodzinną. Późno w nocy wróciłem wraz z Rodzicami z kieleckiego Seminarium, gdzie odbywały się tzw. obłóczyny, tj. przywdziewanie po raz pierwszy sutanny przez starszego brata. Rodzice poszli pieszo do Kosmolowa, a ja do rana przedrzemałem na dworcu (wówczas czynnym całą dobę, wraz z bufetem, a jakże!), żeby przed ósmą udać się do Szkoły. Pierwsza była lekcja j. polskiego. Znakomita nauczycielka, prof. Elżbieta Zbiegowa, głos miała taki spokojny, nieco monotonny. Nie wiem, kiedy mi się oczy zamknęły. Trafnie piszesz, Agnieszko, że pani profesor wykazała wówczas wielką klasę: spostrzegłszy śpiącego (wg naocznych i „nausznych" świadków nie chrapałem), dalej prowadziła wykład, nieco ściszając głos, zapewne aby nie zbudzić utrudzonego delikwenta. Świadomość mi wróciła na głos dzwonka, wprowadzonego w akustyczne wibracje przez niezawodnego p. Forysia, ku uldze uczniowskiej braci. Posłyszałem wtedy powolny głos pani Profesor: „Nooo, zbudźcie już ktoś tego Bigaja, proszę". A w klasie była cisza, jak przysłowiowym makiem zasiał. Oczywiście żadnych konsekwencji nie wyciągnęła zacna pani Profesor. Ja też, z obawy konsekwencji innego już rodzaju[6] nie usiłowałem tłumaczyć się, że przyczyną mojego zmęczenia skutkującego zaśnięciem były przydługie kościelne uroczystości. Nie były to czasy odpowiednie na takie tłumaczenia.

Kosmolowskie drogi

Przez rodzinną wioskę, typową ulicówkę, biegnie dziś elegancka asfaltowa droga wraz z poboczami, z kolorowej (a jakże!) kostki. W czasach mego dzieciństwa była to droga bita. Kamień wapienny dawał jasny białoszary kurz, a ten po deszczu przemieniał się w wapienne błoto. W rodzinnym przekazie stoi, że wujek Józek Śmigielski (brat matki) używając tego właśnie błocka jako zaprawy wymurował chlewik, który stał jeszcze do niedawna. Za Niemców szły wzdłuż kosmolowskiej drogi tory, ale skąd i dokąd, ani co woziła nimi kolejka – nie wiem. Zapewne dlatego jedno z poboczy (to obok torów) do niedawna zwano z niemiecka „bankietem". O szosie przez Przeginię (obecna 94) jeszcze wróble nie ćwierkały, komunikacja Olkusz – Kraków odbywała się przez Kosmolów, Sułoszowę i ojcowskie „serpentyny". Jeden czy dwa autobusy tumanami kurzu znaczyły swoje mozolne rejsy do Skały. Nie były tak punktualne jak w Olkuszu słynna „luxtorpeda" według której regulowano zegarki, ale w zasadzie niezawodne, choć zawsze przepełnione. Nie wiem dlaczego na autobus ten mówiło się: „klasa". Co do zegarów, to były w niewielu chatach (często biegaliśmy przez drogę do sąsiadów Żaków/Skalskich, którzy taki zabytkowy chronometr posiadali, z krótkim pytaniem: „chtóro godzina?"), a jako budziki pracowały niezmordowane koguty. Piały od 1 po północy (tzw. „pierwsze kury") do rana zawsze

5 Dziś, niestety, nasz najmłodszy Władzio, który zmarł rok po najstarszym, Marianie, spoczywa na niepokalanowskim cmentarzu.

6 Por. wyżej przyp. 1.

o tych samych porach. Gdy wstawało słońce, według niego orientowano się w czasie. Jednak najdokładniejszym, choć działającym tylko trzy razy na dobę czasomierzem były świetnie tu słyszalne „buczki" z Fabryki, które wyznaczały zmiany dla pracowników OFNE, a dla nas maluchów były niezawodnym sygnałem z dalekiego świata, znakiem jego stałości, pewności, punktualności.

Mówiliśmy na tę naszą drogę, wzorem starszych, „ulica" (choć kudy jej tam było do prawdziwej miejskiej ulicy!). Od tej to ulicy do każdej zagrody wiodła „uliczka", utwardzony odcinek gruntu, po którym się chodziło i jeździło, przeważnie z mostkiem nad rowem. Na tamtą zaś główną ulicę częściej mówiło się „szos". Właśnie „szos", nie „szosa", i podejrzewam, że było to słowo rodzaju męskiego („ten" szos!). Podejrzenie moje nigdy nie zamieniło się w pewność, ale umocniło się, gdy po dwudziestu latach mieszkańcy Szklar, gdzie mieszkam, w tzw. czynie społecznym wybudowali drogę łączącą ich ze światem, czyli przez Jerzmanowice z Olkuszem i Krakowem. Otóż z okazji otwarcia tej drogi AD 1966 na wjeździe do wsi ustawiono wielką bramę, a napis na niej brzmiał: WITAMY NA OTWARCIU SZOSU. Byłem członkiem komitetu organizacyjnego, ale postanowiłem nie poprawiać ostatniej litery, i to z kilku powodów: po pierwsze ze względów emocjonalnych (pobrzmiał mi tu kosmolowski „szos"), po drugie, aby nie urazić tych co pisali hasło, po trzecie z przyczyn technicznych (wysokość bramy 4 m), po czwarte wreszcie ze względów merytorycznych: dlaczego poza istotami żywymi rzeczy mają być rodzaju męskiego lub żeńskiego (wzorem języka angielskiego „szos", tak jak wszystko, co nie ma płci, powinno być rodzaju nijakiego)? Ale nie odbiegajmy od tematu, który mamy jasno określony: DROGA. Moja droga. Prosta lub kręta, piaszczysta lub asfaltowa, z góry czy pod górę, z wiatrem czy pod wiatr..., ale zawsze mi *droga* **droga!**

Pierwszym związanym z drogą kosmolowską wydarzeniem, i to na skalę międzynarodową, jakie zapamiętałem, był ogromny tabun koni pędzony środkiem wsi przez jakichś ludzi z zachodu na wschód, czyli w kierunku Sułoszowej. Potem pędzono również stada krów, które to poczciwe stworzenia zobaczyłem po raz pierwszy w kolorze czerwonym (u nas były tylko czarno białe krasule). Dziś wiem, że były to wojenne zdobycze zwycięzców, zabierane po drodze jakimś prawem (może kaduka?)[7]. Problem mam z tym jeden: nie chcą mi wierzyć, że mogłem, jako 1-2 latek, zapamiętać zdarzenia z lat 1946-47. A ja naprawdę pamiętam! Być może jest coś na rzeczy w teorii, że dzieci, przychodząc wszak z zaświatów, rodzą się nieziemskimi geniuszami, a dopiero potem, z różnych powodów (skażone środowisko, odżywianie, choroby, edukacja i wychowanie etc.) zostają sprowadzone do ziemskiego parteru.

Po naszej (lub „naszym" jak kto woli) szosie ruch pojazdów mechanicznych był znikomy. Oprócz autobusu, nazywanego – jak mówiłem – nie wiedzieć czemu „klasą", czasami przejeżdżała wielka ciężarówka pana Książka z Olkusza. Dla dzieciarni była to nie lada atrakcja, biegaliśmy za wolno jadącym dużym autem, czasem je nawet wyprzedzając, oczywiście na bosaka. Raz skończyło się to tragicznie: pod koła dostała się kilkuletnia dziewczynka. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy ze zdziwieniem, jak dorosły mężczyzna (kierowca) płacze. Śp. Alinka była trochę młodsza ode mnie, stąd nietrudno policzyć, że jest w niebie już od ponad 60 lat. Białą trumienkę starsze dzieci niosły na cmentarz do Przegini. Śniła się potem komuś z bliskich, aby nie płakali po niej, bo jest w zespole św. Cecylii (patronka muzyki), gdzie gra na harfie i śpiewa. I jest szczęśliwa.

Wracajmyż jednak na ziemię, a dokładnie na naszą drogę, ściślej „szos", bo w Kosmolowie „drogą" zwało się zgoła co innego! Prawie cały transport po „szosie" odbywał się wozami konnymi z żelaznymi obręczami na kołach. Oprócz z rzadka pojawiających się bryczek wybijał się jeden pojazd konny, nazywany przez nas dzieci „glop – glop", albo „na gumianych kołach". Rzeczywiście cichobieżna, bo na oponach, towarowa platforma nie zagłuszała, jak turkot kół żalaznych, „glopania" pary koni, ciągnących zaopatrzenie do miejscowego sklepu, zwanego „spółdzielnią". Szło się więc (najczęściej po sól, cukier albo naftę, a w razie czyjejś choroby po bułkę albo lemoniadę) do spółdzielni, a nie do sklepu. W krótkotrwałych okresach peerelowskich odwilży otwierały się prywatne sklepiki,

7 Dekretem KRN 16.11.1945 r. powołano osławioną Komisję Specjalną do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym w składzie: Gomułka, Bierut, Berman, Minc, Spychalski, Zambrowski. Komisja ta w 1951 roku skazała rolnika z Kownat, pow. Ciechanów, Lucjana Włóczewskiego (po 4 miesiącach aresztu) na 2 lata obozu za rozpowszechnianie „fałszywych" wiadomości, bo mówił o „wyzwalaniu" Polski z bydła i koni przez ZSRR.

a właściciel takiego biznesiku zwany był sklepnikiem (do jednego z kolegów na stałe przylgnęło: „Edek sklepników"). Nasi rodzice też byli „sklepnikami", tuż przed wojną, trochę za okupacji, i potem w latach 60-tych, kiedy to podejmowali próby w nowym ustroju. Niestety, z powodu tzw. domiarów finansowych musieli zarzucić tę działalność. Polityka nienormalnego systemu prowadziła do likwidacji wszelkiej prywatnej inicjatywy: tzw. kułaków, rzemieślników, sklepikarzy itp. „kapitalistów". Po latach, w Wyższej Szkole Ekonomicznej (obecnie UE), na zajęciach z ekonomii politycznej socjalizmu przekonywano mnie o niewątpliwej wyższości tejże nad kapitalistyczną. Nawiasem mówiąc, zaliczyłem ten przedmiot u prof. Lisa na pięć, ale nie jestem z tego dumny. No comments. U nas w domu została nazwa „sklep" dla jednej z izb i drewniana lada vel kontuar, długo jeszcze stojący w szopie zwanej „wozownią" i doskonale służący do zabawy w chowanego.

A co z kosmolowską **drogą?** Otóż w naszej gwarze nazwę tę stosowało się wyłącznie do szerokiego na wymiar konnego wozu (ok. 2 m) pasa gruntu nigdy nie oranego. Porośnięty mizerną trawą, ciągnął się on od zagrody (dokładniej od „zastodola") wzdłuż całego pola, przez Za Górki, aż Do Granic. Każdy rolnik miał taką prywatną trasę komunikacyjną w swoim gospodarstwie, analogicznie jak od strony szosy miał własną uliczkę. Było ich zatem we wsi tyle, ile gospodarstw, czyli około 200. Kiedy zaraza komunizmu w kolektywizacji wsi polskiej dotarła również w olkuskie, jednym z argumentów tzw. agitatorów było właśnie ubolewanie, ile to ziemi marnuje się odłogując pod drogami i miedzami. Zaorzmy wszystko jak leci, a przybędzie nam wiele hektarów uprawnej ziemi! Było to logiczne i trudne do odparcia hasło, w rzeczy samej słuszne. Nie dodawano jednak, że kolektywizacja rolnictwa w wydaniu sowieckim nikomu nie wyszła na dobre. Na przykład będącą pod okupacją sowiecką wschodnią Ukrainę kosztowała ta gorzka lekcja do pięciu milionów śmiertelnych ofiar, zmarłych z głodu w latach trzydziestych ub. wieku. Niedawno pytałem znajomą ukrainkę z okolic Kałusza, co rodzice mówili o tych latach głodu. Odpowiedziała: „U nas głodomoru nie było, bo my byli pod Polszczą, a nie pod Moskalem".

Owe polne drogi pełniły też funkcję doraźnego pastwiska, co przy braku łąk gminnych nie było bez znaczenia. Z powodu skromnej szerokości trzeba było pasące się, czy raczej pasione roślinożerne stworzenie (krowa, owca, czasem koza, a nawet koń) wieść na krótkiej uwięzi i posuwając się stopa za stopą po trwającym 1-2 godzin około kilometrowym „spacerze" zakończyć akcję raźnym powrotem tą samą ale już wypasioną[8] drogą (z niezbyt może wypasioną krową!). Łatwo było tak paść jedną krowinę, trudniej dwie, a były takie sprawne gospodynie, że potrafiły naraz troje, a nawet więcej bydląt, kierując nimi niby rydwanem za pomocą powrozów oraz „chabinki" w roli joy-sticka. A trzeba było pamiętać, że tuż obok pyszni się sąsiedzka uprawa, z której nie wolno uszczknąć ani zdziebka. Jakże ja dobrze rozumiałem nieposłuszeństwo bydlęcia, któremu kazano zadawalać się nędznymi resztkami z drogi, gdy tuż przy gębie rośnie sobie spokojnie i kpi w żywe oczy z krowiej sprawiedliwości jakiś smakołyk w postaci buraka czy lucerny. Wystarczyła więc chwila nieuwagi pasterza, aby krzaczek zakazanej pyszności zniknął w szerokiej, przepastnej i jakby nigdy nic poczciwej mordzie krasuli. Ryzykantka wiedziała, że czeka ją ostra sankcja w postaci razów „chabiną" oraz szarpnięć powrozem, przywiązanym do rogów i do ucha, często naderwanego skutkiem przeciwstawnych interesów pasącego i pasionej. Muszę wyznać, że moja dziecięca wrażliwość bolała nad takim stanem rzeczy i bywało, że odczepiałem krwawiące ucho z wykombinowanej człowieczym sprytem pętelki, a za same rogi to wiecie, co ja mogłem ważącemu pół tony zwierzęciu zrobić. Nawet uderzenia rózgą (po naszemu: „ćwiknięcia chabiną") przez kilkulatka nie robiło wrażenia na gruboskórnej, wiecznie niedożywionej, a do ostatniej kropli sprawnymi matczynymi rękami wydojonej krowiny. Jeśli słuchała moich poleceń, nie zawsze dla jej poczciwej, wielkiej głowy zrozumiałych, to chyba tylko z czystej krowiej przyzwoitości. Lewe oko patrzyło niewinnie, wręcz przyjaźnie na małego pasterza: że niby się rozumiemy, że dziękuje za uwolnienie ucha, że wszystko będzie OK. W tym czasie prawe łypało łakomie na sąsiedzkie, i wystarczało jedno zawinięcie ogromnym jęzorem, aby dokonał się akt sprawiedliwości.

8 Zastosowanie przydawki „wypasiony" do ogołoconej z trawy ziemi było swoiste dla kosmolowskiej gwary, choć „wypasiona" mogłaby być przecież też krowa (chyba jednak tylko wtedy, gdy się „urwała" z kołka i bez ograniczeń jadła, gdzie chciała). Modne obecnie wyrażenie „wypasiony" np. samochód (full wypas), to już zupełnie inna sprawa.

Dlaczegóż to kradzież nazywam aktem sprawiedliwości? Spróbuję wyjaśnić. Nie słyszeliście pewnie określenia: „specjalista miedzowy". Jest to wąska notabene specjalność, dla której nazwanie wymyślić miała rzekomo nasza śp. Mama. Miedza jest to część drogi przylegająca bezpośrednio do gruntu sąsiada, a niekiedy samoistna namiastka drogi, tam gdzie grunty są za wąskie na jej wydzielenie, czyli tzw. Pustki (np. na Zawsiu, w Łazach, Pod Łonym). Taka miedza nie służyła do komunikacji, lecz tylko rozdzielała sąsiednie nieruchomości rolne. Na tej samoistnej miedzy też pasano krowy, ale to już była wyższa szkoła jazdy. No bo jak na nieszerokim pasku gruntu prowadzić potężne zwierzę tak, aby uniknąć szkody, i to z obydwu stron (zakładając, że nie stosuje się mojej metody rewindykacyjnej, o czym za chwilę)? Miedza to odwieczna i przysłowiowa przyczyna wielu waśni sąsiedzkich, a nawet tragedii (vide filmy Sami swoi, Janosik). Otóż wzmiankowany specjalista może wykazać się swoimi zdolnościami (czyt. zachłannością) przyorując corocznie niezauważalnie po parę centymetrów miedzy. Po kilku latach konsekwentnej działalności takiego „fachowca" jego rola poszerza się już ho, ho! prawie o całą skibę.

W moim domu, jak zapewne i w wielu, czasem stawał problem niecnego sąsiedzkiego przyorywania miedzy. Wywoływała go, jako argumentu nierzadko używając łez, zatroskana o swoją ojcowiznę (tzw. Śmiglówkę) Matka. Dziwiłem się spokojnemu podejściu Ojca, proponującemu machnięcie ręką na taką marność[9]. Ja sam, ślęcząc przy krowich ogonach na naszej drodze i przemyśliwując nad tym gospodarsko-etycznym problemem doszedłem do wniosku, że jestem w stanie wymierzyć sprawiedliwość dziejową, lub choć trochę przybliżyć rzeczywistość do tego idealnego stanu, a to przy pomocy zaprzyjaźnionej krasuli. Uznawszy a priori, że co najmniej skiba sąsiedzkiego pola to przyorane „nasze", pozwalałem uszczęśliwionemu zwierzęciu na odrobinę rozpasania. Jasne, że wymagało to mojej wzmożonej czujności, aby nikt nie zauważył przestępstwa, i dokładnie zatrzeć jego ślady. A zresztą! Niech tam! Powiem całą prawdę (jak mawiał mój kolega Adolek S., o którym dalej będzie mowa): zdarzało się, żem własnoręcznie wyrywał plon z zaanektowanej bezprawnie skiby i podsuwał zdziwionej gadzinie (tak się u nas zwało zwierzęta hodowlane) do konsumpcji, zaskarbiając sobie jej wdzięczność manifestowaną kilkakrotnym machnięciem ogona, niby to od much. Równoczesne porozumiewawcze przymrużenie wielkiego oka miało jakoby odegnać natrętnego owada. Poważne oblicze mówiło zaś: „jaki ten mały jest wielki".

Bywa czasem, że i krowa, ta spokojna i dostojna istota, miewa chwile szaleństwa. Raz w okresie godowym (na wsi mówią, że się „goni", albo „latuje"), kiedy staje się niespokojna, ryczy, nie chce jeść, a czasem nawet (o zgrozo!) skacze na drugą, co z perspektywy malca wyglądać musiało przerażająco, choć z odrobiną komizmu. Kiedy dziś, jeżdżąc po drogach Niemiec widzę znak ostrzegający, gdzie TIR najeżdża na TIR-a przy czym nie czołowo, lecz jadąc w tę samą stronę, to mi właśnie przypomina tamto irracjonalne zachowanie krów (tak się składa, że w niem. Tier, czyt. Tir, znaczy „zwierzę"!). O takim zachowaniu delikwentki należało powiadomić rodziców. Wówczas ktoś starszy, najczęściej Ojciec, pędził „oblubienicę" do p. Leona, właściciela rozpłodowego buhaja. W każdej wsi ktoś hodował takiego byka-reproduktora, ale w dobie postępu i kolektywizacji także i ta inicjatywa, wszak prywatna, była tępiona przez tzw. odnośne władze, nastawała bowiem era inseminacji. Przyjeżdżał pan inseminator, jak najbardziej uspołeczniony, i rzecz załatwiał podobno bardziej postępowo. Szeptano wieczorami, że tu i ówdzie rodzi się cielę potworek, np. o dwóch głowach, ale to mogła być propaganda wrogów ustroju.

Drugi przypadek, gdy poczciwa krasula wariowała, to było jak się „pogziła", czyli przestraszyła się owada o nazwie giez. Zaczynała biegać, skakać, uciekać nie wiadomo dokąd, z podniesionym do góry jak antena ogonem. Najczęściej zrywała postronek lub wyrywała kołek i pędziła w stronę domu z szybkością, o jaką by ociężałego stworzenia z wielkim jak wiadro wymieniem nikt nie podejrzewał. Na szczęście nie zdarzyło się u nas to, co u jednego z gospodarzy, że wpadając w gęstwinę kolczastych drzewek zaczepiła nieszczęsna sterczącym ogonem o gałęzie i nie zdążywszy wyhamować urwała ten przydatny narząd. Przypadłość gżenia miała tę niedobrą cechę, że udzielała się innym, i pastuszkowie mieli wtedy problemy ze stadem. A już za karygodne uznać trzeba, że niektórzy chłop-

9 Słyszałem, jak Tata przemawiał łagodnie do jednego z sąsiadów, z których obaj mieli na imię Józef: „Józek, Józek, ileż nam jeszcze zostało tego życia, czy warto się o taki skrawek spierać?"

cy złośliwie wprowadzali bydlątka w ten stan sztucznie, wołając „bzz", „gzzz", skandując jakiś brzydki wierszyk, i wykonując przy tym magiczne gesty. Po paru chwilach krowi ogon wznosił się, a jego właścicielka przestawała się paść i z niepokojem nasłuchiwała. Z takimi pastuszkami w wilczej, czy raczej gziej skórze, starałem się żyć w zgodzie, umacnianej niby fajką pokoju połówką papierosa o wdzięcznej nazwie „Mazur", podebranego w rodzicielskim sklepie. Mazury owe miały swoiste działanie: po pociągnięciu cuchnącego dymu, który to heroiczny akt nosił miano sztachnięcia – płuca napełniał ogień, a oczy krynice łez. Byli jednak wśród nas smakosze twierdzący, że Mazury są dużo lepsze od tych skrętów z ukradzionej panu Nowakowi samosiejki. Ale de gustibus... Jestem pewien, że to ten produkt Monopolu Tytoniowego z okresu wczesnego Gomułki oszczędził mi jednego przynajmniej nałogu[10].

Wspomnijmy teraz o stworzeniu od pradziejów związanym z człowiekiem, a co dla nas tu równie ważne, z **drogą**, mianowicie o koniu. Może nie tym bojowym, husarskim czy ułańskim, albo pełnokrwistym z torów wyścigowych, lecz zwykłym, pracowitym wałachu pociągowym, który w czasach mego dzieciństwa obok rąk ludzkich był główną siłą roboczą w każdym gospodarstwie. O znaczeniu tego zwierzęcia dla rolnika przekonało mnie dramatyczne zdarzenie, kiedy to pewnego wiosennego dnia „na przednówku" nasz ojciec wrócił z Olkusza, gdzie odwoził do lecznicy chorego siwka. Na nasze pytanie, co z koniem, machnął tylko ręką, bo głos uwiązł mu w gardle, a wielkie łzy potoczyły się po jego szczeciniastym obliczu. Był człowiekiem silnym i uchodził za twardego. Nigdy poza tym nie widziałem, by płakał.

Głównym obowiązkiem konia w gospodarstwie był tzw. obrobek, czyli uprawa roli oraz zwózka plonów, ale także wszelaki transport towarowy i osobowy, jak również inne ciężkie prace, np. poruszanie młocarni czy sieczkarni za pomocą urządzenia zwanego kieratem. W każdym przypadku konik musiał być odpowiednio „ubrany". Taki kompletny ubiór nie był lekki, ważył ok. 10 kg. Dla dorosłego gospodarza to niewielki ciężar, dla konia pestka, ale dla kilkuletniego szkraba, to już problem, zwłaszcza że trzeba było nadziać ten „strój" przez łeb wielkiego zwierzęcia. Ale od czego spryt malca? Oto przy pomocy młodszych braci Stasia i Tolka wydźwigamy klamoty po sztuce do końskiego żłobu, po czym sam się tam wspinam, przywabiam kasztanka jakimś smakołykiem, i powoli wszystko zapinamy. Najgorzej było konika „ochełznać" (tak mówili starsi, ale pewnie literacko winno być „okiełznać"), czyli włożyć mu do pyska metalowy łańcuszek zakończony lejcami. Nie dziwmy się, że stawiał opór: któż by chciał takie paskudztwo trzymać między zębami. Czasem je uparcie zacisnął i bez użycia skórki chleba albo kostki cukru nie otworzył, ale gdy już było po wszystkim, mądry zwierzak pokorniał i wiedział, że choć wielki, musi słuchać tego smarkacza.

Zaprzągnięcie do wozu to już był drobiazg, choć należało pamiętać o bezpieczeństwie, a zwłaszcza prawidłowo naszelnik zamocować do dyszla, gdyż ten zestaw pełnił będzie funkcje najważniejszych układów pojazdu: hamulcowego (prrr!) i kierowniczego (hetta - wiśta), a nawet biegu wstecznego (tep!). Jakiż ja byłem dumny, gdy samodzielnie wykonywałem koniem jakieś prace gospodarskie, jak oborywanie na wiosnę płużkiem kartofli, podorywka pługiem po żniwach, jesienią bronowanie (mówiło się też: „włóczenie") ozimin, itp. A zimą? Też nie próżnowaliśmy! Obok atrakcyjnych kuligów wyjeżdżałem, bywało, do Zimnodołu lub Zedermana po brata Mariana, który wówczas był katechetą w tamtejszych szkołach. Oooo! Cóż to były za wyprawy przez zasypane drogi i zdroża! A już niemal jak zmotoryzowany biznesmen czułem się na koźle oplandekowanego wozu przewożąc wraz z „pomocnikiem" Stasiem towary do wspomnianego rodzicielskiego sklepu. Najczęściej był to chleb „od Nogiecia", napoje z wytwórni wód gazowanych: prywatnej pana Fila na Pakusce lub państwowej „u Wojny" na rogu Kościuszki i Augustiańskiej, wędliny z masarni na ul. Krakowskiej (100 m. od rynku!), gdzie potem był bar „Smakosz". Czekając na ten mocno reglamentowany towar zachwycaliśmy się, jak vis-à-vis oszałamiająco mrugały światełka strzelnicy pana Kaziroda[11]. Kilka razy do roku wio-

10 Trudno to sobie wyobrazić, ale są jeszcze gorsze od Mazurów wyroby tytoniowe. Niedawno powziąłem wiadomość, że produkt leningradzkiej wytwórni papierosów, osławione Biełomory mają aromat ponoć płonącego śmietniska.

11 Jeden z nas zawsze musiał pilnować konia, ale drugi mógł podejść bliżej do strzelnicy. Co do mnie, to oczekiwałem z drżeniem serca, kiedy strzelec trafi w odpowiedni punkt, blaszana ręka trafionej figury opadnie pociągając za sobą dolną szczękę, a z głośnika rozlegnie się okropne: „Łaaaa!!!'

zło się furę zboża, a z powrotem mąki z młyna pana Kruka (na ul. 1 Maja tuż za kinem „Orzeł"), ale to już obowiązkowo z udziałem Taty, bo worki były bardzo ciężkie. Oczywiście większość dostaw Ojciec wykonywał sam, a trzeba wiedzieć, że zazwyczaj pracował, jak by to dziś powiedzieć, na dwóch, a czasem i więcej etatach: w OFNE, w lesie przy żywicowaniu drzew[12], a prowadził też sklep i gospodarstwo rolne. Najważniejsza była firma państwowa, gdyż dodatek rodzinny z reguły przewyższał pensję. Jak by inaczej mógł nie tylko utrzymać liczną rodzinę, ale i wszystkich wykształcić, a w miarę możliwości pomóc w usamodzielnieniu.

Wracając jeszcze do ceremoniału porannego wypasu krówek na drodze dodam, że niekiedy, zwłaszcza w niedziele, rolę pasterzy pełnili rodzice. Im wcześniej się zaczynało tym lepiej. Najlepiej z rosą. Niektórzy wyganiali swoje stadka przed świtem. Na drodze właśnie odmawiano poranne pacierze i śpiewano pieśni, np. Kiedy ranne wstają zorze. Nieraz słyszeliśmy jak Mama, obdarzona doskonałą pamięcią i głosem, śpiewała godzinki, wychodząc od słów: „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą...", a kończąc, i to na kolanach: „... a przy śmierci nam słodką Maryją przybyła". Znała je całe na pamięć. Podobnie wiele innych pieśni oraz wierszy, nie tylko o tematyce religijnej. Potem następowała część towarzyska, tzn. rozmowy z sąsiadkami, równocześnie wykonującymi swą pasterską powinność. Tą drogą szybko rozchodziły się wiadomości, plotki, również opowiadano dykteryjki, a nawet flirtowano, chociaż tu ze względu na odległość trudno było o dyskrecję. Przecież komórek, ani internetu jeszcze wówczas nie wynaleziono. Telewizja może i była, ale chyba w Ameryce. Radio miał mało kto, i to tylko na akumulator, bo wszak prądu jeszcze nie było. Jeden z gospodarzy zbudował linię elektryczną wzdłuż drogi z Sieniczna do wznoszonego przez siebie, ale nigdy nie ukończonego młyna na początku wsi[13]. Stąd w końcu lat 50-tych wybudowano ok. 1 km trakcji do szkoły.

Od września 1956 uczymy się już w pięknej, pachnącej nowością, jasnej, piętrowej szkole ze świetlicą i salą gimnastyczną. Nie wiem czemu, albo komu mała wioska zawdzięcza taką inwestycję. Kierownikiem szkoły był podówczas p. Franciszek Pstrąg, nauczycielem matematyki i moim wychowawcą p. Stanisław Płoszaj. Odległość od mojego domu – niecałe 100 m. Wyposażenie bardzo dobre. Wprawdzie wieś jeszcze nie ma elektryczności, ale instalacje w nowym budynku szkolnym czekają na nią. Objazdowe kino, symbol kultury tamtych lat, korzysta jeszcze z generatora benzynowego, zapewne z „demobilu" wojennych zapasów. Murowanych domów ledwie kilka, większość chat pod strzechą. Największym problemem jest trudny dostęp do wody. Brak rzeki, a najbliższe źródła, tzw. Stok, w odległości 3 km. We wsi było kilka głębokich (ponad 30 metrów!) studni, gdzie wodę wyciągało się wiadrami za pomocą wału korbowego. Woda była krystalicznie czysta, o niezwykłym smaku, ale wydobycie jej wymagało niemałego trudu. Przy korbach stawało przeważnie dwoje ludzi, a nas, dzieci co najmniej dwoje. Tylko nasz Ojciec i podobno W. Świda potrafili wyciągnąć ogromny kubeł z wodą jedną ręką. Na szczęście jedna ze studni znajdowała się niedaleko naszego domu, tym niemniej potrzeba było wiele wiader, aby zaspokoić potrzeby gospodarstwa i licznej rodziny. Niestety, krynice te w latach 70-tych zaczęły wysychać, co było spowodowane technologią wydobycia rud w kopalniach Olkusz i Pomorzany. Zniknęły też wszystkie okoliczne źródła, a także rzeka-ponik Baba. Najpierw dowożono wodę beczkowozami na koszt kopalni, a potem zbudowano wodociągi, co ostatecznie rozwiązało problem.

Dziś trudno sobie wyobrazić funkcjonowanie świata bez prądu, jak się wówczas mówiło: „bez światła". Trudno też uwierzyć, że wielu gospodarzy pytało, po co im taki wynalazek[14]. Chaty pod strzechą, stodoły pełne, wystarczy przypadkowa iskra i nieszczęście gotowe, nie mówiąc o możliwości porażenia, podobno ściągnięcia pioruna, etc. W moim domu, krytym już dachówką, rada w radę ustalono, że prąd założyć trzeba, tym bardziej, że jeden ze słupów stał na naszej działce. Najstarszy brat, Marian, sprowadził z Olkusza, jak się wtedy mówiło, montera, pana Wójcickiego Zdzisława, swego szkolnego kolegę. Po latach dowiedziałem się, że tym Prometeuszem, który zapalił pierwszą żarówkę w mojej rodzinnej chacie, był starszy brat koleżanki z klasy, Małgosi. Słowem: stała się jasność! Karbidówka

12 O tej ciekawej pracy, i to z moim (naszym) udziałem, będę jeszcze pisał.

13 Wieść gminna głosiła, że dostał pieniądze od Żydów, za przechowywanie ich podczas wojny.

14 Cóż się zresztą dziwić prostym kosmolowianom, jeśli zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej, po wynalezieniu przez Edisona żarówki, Państwowa Komisja Kongresu USA orzekła: „Domowe przyłącza światła elektrycznego to urojenia".

poszła w odstawkę, choć z sentymentem wspomnę, że ona właśnie, a nie żadna „elektryka", rozświetlała mi kręte drogi Koszałka-Opałka, Poziomka i Króla Błystka, a także jasną postać Sierotki Marysi, w której, muszę to wyznać, podkochiwałem się, gotów uczynić sprawiedliwszym i szczęśliwszym jej sierocy los. O lampie naftowej już całkiem zapomniano, co to jest łuczywo, nazywane w niektórych chatach szczypą, wiele dzieci już nie wiedziało.

Oprócz **dróg**, zwanych dziś polnymi, było kilka o wyższej randze i wyróżniających je nazwach własnych: Przyśnica, Skotnica, Zogonie, Zowsie. Obecnie nazywają się one urzędowo: drogi dojazdowe do pól, albo krótko: drogi gminne. Ciekawą formą drogi było jeszcze najbliższe domu „Zastodole". To była niezaznaczana na żadnych mapach ścieżka publiczna, biegnąca – jak sama nazwa wskazuje – poza stodołami, bardzo wygodna i trochę tajemnicza. Można było stąd legalnie zaglądnąć każdemu gospodarzowi w obejście nie od głównej drogi, lecz niejako „od zakrystii". Można było przemknąć niepostrzeżenie przez wieś, nie narażając się na czujne oko dyżurnych obserwatorek, i to bez kurzu lub błota szosy, a za to w cieniu bujnych leszczyn. Rzadko gdzie przegradzał ścieżkę płot lub inna przeszkoda, a jeśli nawet, to montowano ułatwienia, tzw. przełazki, kładki itp. Uwielbialiśmy chodzić latem po zawsze zacienionym zastodolu do „Cioci", siostry ojca (Zofii Mączka). Bywały w rodzinie liczne osoby, które tytułowaliśmy: ciotka, stryjna, wujna (mówiło się też: „ujniczka"), ale „Ciocia" była tylko jedna[15]. Do niej to prowadziła daleka wędrówka po „zastodolu", trochę niebezpieczna, bo tu i ówdzie trafiał się zły (tj. dobry) pies, który wyczuwał obcego, albo groźny gąsior odstraszający intruza sykiem od swego stada. Niemniej warto było podjąć ryzyko i trud wyprawy „do Cioci", u której zawsze mogłeś liczyć na życzliwe przyjęcie, wyjęty zza pazuchy smakołyk, a nade wszystko jakiś nieuchwytny spokój, łagodność, powiedziałbyś: „dobrą aurę"[16]. Nawet którejś zimy tam mieszkałem, bo do starej szkoły u Ziarna było od Cioci blisko, a moje trzewiki pozostawiały wiele do życzenia, nowa zaś szkoła blisko naszego domu dopiero się budowała.

Do tamtej starej szkoły prowadził mnie nieraz syn Cioci, a więc nasz kuzyn, Bolek Mączka, który uczył tam między maturą a studiami na Akademii Medycznej w Krakowie. Pokazywał mi cuda, jakie mnie w szkole czekają, np. globus czy magnes. Nie dziw, że nie mogłem się doczekać „immatrykulacji", która też nastąpiła w wieku 6 lat. Co do Bolka, to muszę nadmienić, że jest on absolwentem naszego Liceum, a chodził do jednej klasy z jednym z najwybitniejszych olkuszan, późniejszym rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Kielcach, ks. prof. Władysławem Łydką, o którym nieraz wspominał, a nawet przytaczał krążące anegdoty, np. o tym, jak to koledzy biegali przez tory po „ściągi" do Władzia, który idąc ze swojej Żurady czekał przed przejazdem kolejowym na otwarcie szlabanu, posłuszny ostrzeżeniom matki[17].

Oto dokąd doprowadziło nas kosmolowskie Zastodole, nieistniejąca już postać drogi, godna osobnego eseju. Przejdźmy teraz do innych, wymienionych wyżej rodzajów. **Przyśnica**, zapewne od słowa „przecznica", gdyż biegnie lekko po skosie w poprzek dróg polnych, wiedzie od Kapliczki w kierunku zachodnim pod Łon i do Troksa. Od tejże Kapliczki w kierunku wschodnim na Sułoszowę wiodła **Skotnica**, przecinająca pole wyjątkowego oryginała Gita, na którego miedzy stał pochylony drewniany krzyż, znaczący rzekomo ukryte skarby. Dalej szło tzw. Markowe, czyli ojcowizna Ojca, obecnie pola stryja Janka oraz sąsiadującej z nim, znanej już dobrze Czytelnikowi Cioci. Niestety, bywając na miejscowym cmentarzu nie widzę obecnie tej drogi. Być może i one, drogi, tak jak ludzie, rodzą się i umierają, powstają i znikają. Skotnica może została zlikwidowana i zaorana jako nikomu niepotrzebna. Taki człowieczy los drogi! Po południowej stronie wsi od remizy prowadziła droga poprzeczna w kierunku Zadola. O ile wiem, droga ta także umiera. W pobliżu, na „Kubikowym"

15 Pojawiła się jeszcze jedna „Ciocia" w moim życiu, ale to dopiero za kilka lat (zob. dalsze rozdziały), cudowna osoba, profesorka historii, p. Cembrzyńska.

16 Gdy się, jak to dziecko, coś przeskrobało, potrafiła skarcić słowem: „ty huncwocie" (od niem. Hundsfott, według słownika: łobuz, nicpoń, szelma, często z odcieniem poufale-żartobliwym), a musiałbyś mocno nabroić, żeby użyła „mocniejszych" epitetów: „gałganie", albo najbardziej typowego dla siebie: „sielmo" (tzn. „szelmo"), które to bardzo ciepło wymawiane miano do Niej samej przylgnęło: „Ciocia-Sielma". Te już same w sobie raczej śmieszne, niż groźne łajania, zaraz łagodziła ciepłym, ugodowym uśmiechem, albo nawet pogłaskaniem po czuprynie.

17 Potwierdzenie tego epizodu usłyszałem niedawno w rozmowie towarzyskiej od prof. Józefa Januszka.

(właściwe nazwisko też Bigaj) stała wieża triangulacyjna, zwana przez miejscowych „wyźrołem" lub „wiuchą". Przechodząc mimo, np. na nauki pierwszokomunijne do kościoła w Przegini, wspinaliśmy się na tę ogromną budowlę z duszą na ramieniu i podziwiali niczym z lotu ptaka dalekie horyzonty. Z drugiej strony remizy, w kierunku zachodnim Zagonie, a dalej Zawsie (gwarowo **Zogonie, Zowsie**) to dziś ładnie zabudowana kolonia domków aż po las.

Ciekawym, kto pierwszy wybuduje domek przy Przyśnicy, która jest już pięknie wyasfaltowana, acz bez infrastruktury (woda, prąd). Ufam, że choć z Tamtej Strony będę oglądał kolonie domków sięgającą przynajmniej do krzyża na sąsiedzkim, Prymusowym, wystawionego przed ponad dwustu laty przez moich przodków Mączków. Ileż razy nasze dziecięce ręce układały pod tym krzyżem bukiety polnych kwiatów: wiosną pierwiosnków, zawilców i przylaszczek z pobliskich „Krzoków", latem chabrów, maków i... kąkoli z rodzicielskiego pola... A jesienią figura zasnuwała się mgłą, również niepamięci… Trzeba było iść do szkoły, dnia ubywało, a może i nie dostawało wytrwałości... Zimą natomiast, wyglądając przez zasypany po czubki sztachet płot za stodołę, widziało się na tle zaśnieżonego białego bezkresu charakterystyczną wyniosłą sylwetkę „Prymusowego" krzyża, który upewniał dziecko o stałości wszechświata, a zarazem budził nadzieję wiosny.

Także asfaltowa jest dziś **droga** prowadząca od kościoła parafialnego pw. M. B. Częstochowskiej po „Bigajowym"[18] polu „Za Górę", do bramy cmentarzyka w zacisznej kotlince pod lasem. Tu spoczywają moi śp. Rodzice, tam też „zamieszkał" odeszły po powrocie z Australii brat Mamy Jan Śmigielski obok swej żony Janiny z Kalinowskich, rodowitej warszawianki, fundator trzech dzwonów i dzwonnicy dla tutejszej parafii, a poza tym dobroczyńca wielu mieszkańców Kosmolowa. Wuj John, który widział niemało krajów od Ameryki po Australię, stwierdzał wielokrotnie, że najpiękniej jest w Kosmolowie, i tu chciał spoczywać[19].

Z Kosmolowa do Klerykowa

Dobrze rokujący kleryk kieleckiego Seminarium Duchownego, wspominany tu już brat Jan zabrał nas, trzech młodych budrysów, tzn. mnie, młodszego o dwa lata brata, Stasia, oraz Adolka S., syna maminej koleżanki z Przegini, do wielkiego miasta Kielce. Oooo! To był skok na głęboką wodę! Staszek, uczeń IV klasy, lat 10, Adolek, kl. V, lat 11, i ja, senior tej grupy, 13-letni siedmioklasista. Pomimo że zagrożenia były nieporównanie mniejsze, niż w obecnych czasach, to podziwiać trzeba odwagę rodziców, że puścili takich maluchów w szeroki świat. Podziwiać też Janka, że wziął na siebie tak wielki obowiązek, sam mając lat niespełna 20. Mieszkaliśmy na prywatnej stancji, najpierw przejściowo w domu ks. prof. Leszka Kuca, który wyjeżdżał na jakiś czas do Francji, potem niedługo u pewnej pani, której nazwiska nie pomnę, na ul. Koziej, wreszcie już do końca na ul. Starowarszawskie Przedmieście, u pani nomen omen Radzieckiej (nazwisko jakże na czasie; pozazdrościć!).

Obiady jadaliśmy u sióstr Zytek na ul. Wesołej, a potem w Caritasie, na Mickiewicza. Były doskonałe, i smaczne, i pożywne, i obfite. Wykupiony mieliśmy abonament za 1/2 obiadu, a i to ledwo mieściliśmy w bądź co bądź dziecinnych żołądkach. Tęsknota za domem? Pewnie i była, ale mieliśmy przecież w Seminarium przy ul. Świerczewskiego rodzonego brata, którego się nierzadko odwiedzało, i który nas odwiedzał. A poza tym czas wypełniały szkoła i nauka domowa, zajęcia pozaszkolne w Domu

18 «Bigajowym», to nie znaczy, że związanym z moją rodziną. Jest to swoisty fenomen kosmolowski. Określenie «u Bigaja» i ogólnie nazwisko «Bigaj» stosuje się tylko do jednej rodziny, tej co «za Kapliczką» (dziś za kościołem), chociaż nazwisko to nosi ok. 20 kosmolowskich rodzin (w tym moja). Pamiętam z dziecięcych pasterskich wypraw do leśnych „Wodońców" spotkania ze starszym kolegą-pasterzem, Jędrusiem Bigajem, śpiewającym swym charakterystycznym, nosowym głosem. Zdumiewające, jak sprawdziły się słowa refrenu jednej z jego pieśni: „Niechaj na mej roli piękny kościół stanie!" W istocie, to na jego działce wybudowano obecną świątynię. Dlatego mówi się: „na Bigajowym". We wszystkich innych przypadkach poza tamtym jednym stosowane są niby pseudonimy. I tak do nas mówiono: «do Śmigla» (ojciec Matki, Franciszek pochodził ze zubożałej szlachty wielkopolskiej Śmigielskich, wywodzącej się z okolic Śmigla). Przykłady przydomków niektórych innych Bigajów: «Ciotrys», «Simac», «Kubik», «Marek», «Rułka», «Chlebuś»

19 Pisząc o obiektach sakralnych uprzytomniłem sobie brak monografii o miejscowych krzyżach i świątkach przydrożnych. Można mieć nadzieję, że jakiś badacz wypełni tę lukę.

Kultury, czytanie, a właściwie pochłanianie książek, prawdziwe kino i prawdziwy teatr[20], a także dziś już nieznany, wówczas łatwo dostępny i tani (50 gr.) FOTOPLASTIKON. Powiedzcie dziś nastolatkowi o fotoplastikonie. Uśmiechnie się z politowaniem, jeśli w ogóle słyszał, co to jest. A dla nas to była prawdziwa przygoda, pobudzająca wyobraźnię, trochę tajemnicza, z ceremoniałem wdrapywania się na wysoki zydel, nastawiania ostrości wielkich okularów i zaglądania, niczym Alicja na drugą stronę lustra, w czarodziejski świat. Ogromne, kolorowe, trójwymiarowe obrazy przesuwały się majestatycznie w takt dyskretnej muzyki. Jak wszystko, z czasem i fotoplastikon przeminął. Czy mogłem przypuszczać, że przez oglądany tam Grand Canion w Colorado poprowadzę kiedyś tysiącfuntowego osiemnastokołowego Peterbuilta? Cierpliwości, miły Czytelniku, dojdziemy i do tych amerykańskich przygód!

Od kiedy zamieszkaliśmy na Starowarszawskim Przedmieściu 33, w pobliżu kościoła Św. Krzyża, jakieś 300 m od Dworca Głównego, czasem zdarzało mi się zachodzić na przydworcowy postój dorożek. Niektóre koniki już mnie poznawały, gdy za powitalne pokiwanie głową dostawały piętkę chleba. A swoją wyniesioną z Kosmolowa słabość do koni dopiero co opisywałem. Dorożkarze też byli przyjaźni. Dworzec był stary, przedwojenny, nawet zacierają mi się w pamięci jego kontury, ale doskonale pamiętam dwie jakby takie osobne wieżyczki, osłaniające schody na wiadukt. Można było tędy przejść bezpiecznie nie tylko na perony, ale i na drugą stronę miasta. Tunel powstał dopiero wraz z budową nowego dworca w latach 60-ch. Na tamten to wiadukt wiódł mnie być może jakiś tęskny zew stron rodzinnych.

Stojąc tam wysoko wypatrzyłem kiedyś tor wiodący w kierunku południowym na Kraków, a po rozwidleniu w Tunelu, przez Charsznicę także na Olkusz. Wystarczyło tylko zamknąć oczy, i już ten sam tor był przed olkuskim dworcem, a stamtąd przez pole p. Nogiecia, ścieżką pod górkę, do przystanku PKS (bilet do Kosmolowa kosztował 2,40), i Mama zdziwiona: „Boguś!? Skąd się ty tu wziąłeś? A Staś gdzie?" Pufff! Przejeżdżająca dołem lokomotywa tumanem pary przywraca marzyciela do rzeczywistości. Trochę żal mirażu... A to „podróżowanie na gapę" miało tyle uroku! Jego celem był najczęściej dom, bo jakież inne miejsce mogło być tak mocno osadzone w wyobraźni nastolatka? Czasami czekałem na dole jeszcze, aż zapowiedzą pociąg przez Sędziszów do Katowic, czyli na Olkusz, i powoli wchodziłem na mój stały punkt obserwacyjny na wiadukcie. Wieczorami było tam pusto. Nieliczni przechodnie nie zwracali uwagi na malca. Zapewne nie wyglądałem na „bezprizornowo", bo nawet patrole mundurowe (SOK, MO) mnie nie zaczepiały. A ja tylko czekałem, aż mój pociąg ruszy w obłoku pary i pokaże dwie czerwone latarnie na końcu składu. Stuk, stuk – stuk, stuk, i już tylko maleńkie dwa punkciki. Potem i one znikają. Przez chwilę robi się trochę pusto, nawet markotno nieco. Ale niebawem skonstatowałem, że w życiu nie ma próżni. Oto już następne pociągi się pojawiają, następni podróżni, nowi przechodnie.

A że wieczorkiem od Gór Świętokrzyskich ciągnie chłodem, więc szybkim krokiem jestem na ciepłej, przytulnej stancji u pani Radzieckiej. Na kolację zamiast herbaty (była droga i podobno niezbyt zdrowa), dostawaliśmy bardzo rozrzedzoną kawę zbożową. Nie grymasiliśmy, z cukrem była całkiem znośna. Za to na śniadania przeważnie było mleko, biała kawa, lub zupa mleczna. Do dziś zupy mleczne są podstawą mojego porannego posiłku. Nawet jadąc TIR-em wożę komponenty oraz zestaw do sporządzania tego przysmaku w kilkunastu odmianach. Z rozrzewnieniem wspomnę, że prof. Konopacki z uznaniem i charakterystycznym swoim uśmieszkiem obserwował moje trzecie podejście po repetę, nawet jeśli to był zwykły grysik lub mamałyga. Większość chłopców odstawiała ledwo tknięte porcje, co wywoływało dezaprobatę naszego Opiekuna. O tym jednak olkuskim etapie z jego internatem mowa będzie szerzej w dalszym rozdziale, póki co jesteśmy na stancji i w szkole w Kielcach. Szkoła ma numer 4 i mieści się wraz z 10-ką w wielkim, poniemieckim baraku.

Nazwiska polonistki nie pamiętam. Uczyła w tej klasie drugi rok, była młoda i bardzo elegancka, a ponadto zasadnicza: za każdy błąd ortograficzny obniżała ocenę klasówki o jeden stopień, a napisane nie w specjalnym zeszycie, lecz na luźnej kartce wypracowanie, dyskwalifikowała bez poprawia-

20 Ówczesny kleryk, wówczas młodszy kolega Janka, a potem i mój, Darek Antoni Dubiel, po latach dyrektor rzeszowskiej Estrady, twierdził, że scena Teatru im. Żeromskiego w Kielcach, kierowana przez małżeństwo Byrskich, była jedną z najlepszych w kraju.

nia. Jako „nowy" nie wiedziałem jeszcze o tym i wypracowanie nt. „Moje najciekawsze wspomnienie z wakacji" napisałem na kartce wyrwanej z zeszytu, bo nie miałem specjalnego do klasówek, wówczas jeszcze nie zapowiadanych wcześniej, jak to się czyni obecnie. Kiedy za kilka dni pani wnosiła do klasy stos niebieskich[21] zeszytów klasowych, a na wierzchu powiewała, niczym biały znak klęski moja kartka, wiedziałem już wszystko. Byłem pewny, że dwója murowana, gdy pani, odczytując listę obecności, nieco dłużej zatrzymała na mojej mikrej postaci swój powłóczysty, acz pedagogiczny wzrok. Oddawała zeszyty po kolei każdemu z krótkim komentarzem, a moją kartkę zostawiła na koniec. Pomyślałem: „Aby moja klęska była większa!" I co słyszę? „Bigaj..." Wstaję... „Ty możesz podziękować mojemu mężowi..." Myślę pośpiesznie: za co? Przecież go nie znam. Klasa nastawiła uszy. „Wczoraj, gdy kończyłam poprawiać wasze zeszyty, a jest to zajęcie dość wyczerpujące, poprosiłam męża , żeby mi przyniósł kawy. Usiadł przy stole i wziął do ręki twoją kartkę, której nie miałam zamiaru nawet czytać i odłożyłam na bok. Czytał, czytał, a potem mówi: «Dlaczego odłożyłaś to wypracowanie?» Bo taką mam zasadę, że nie sprawdzam na luźnych kartkach, tylko w klasowych zeszytach. A on na to: «Szkoda, bo to bardzo ciekawa opowieść». Hm, pomyślałam, co tam może być ciekawego? Przekonał mnie, abym przeczytała, i tak się też stało. A ty – to do mnie – daleko mieszkasz od Ojcowa?" „Nie, 15 kilometrów – mówię – i dodaję na jednym oddechu, bo jakąś nadzieję poczułem – tam jest bardzo ładnie! Jeździłem tam na kolonie". Piękna pani (wówczas jawiła mi się absolutnie cudowną) rzekła: „Wiem, też tam byłam z wycieczką szkolną. Wyjątkowo stawiam ci czwórkę, zrobiłeś jeden błąd, no i ten brak zeszytu. Siadaj". Siadać? Ja chcę fruwać! Pani polonistka odczytuje moje wypracowanie *ex cathedra*. Idę odebrać moją nieszczęsną, która okazała się jakże „szczęsną", kartkę. I wtedy pada jeszcze jedno pytanie: „A dlaczego tak daleko od domu chodzisz do szkoły?" Zaskoczony wypaliłem: „Aaaa, bo tu jest wyższy poziom!" Sala ryknęła śmiechem. Zaczerwieniony po uszy, wracając na miejsce zauważyłem kątem oka, że najładniejsza z dziewczyn, Lilka, uśmiecha się też; odniosłem wrażenie, że do mnie... Ale może mi się tylko tak zdawało, może to... ze mnie?

Chcesz, drogi Czytelniku, wiedzieć, jaka to opowieść zaintrygowała nieznanego mi męża naszej polonistki? To była opowieść jak z życia, trochę prawdy, trochę fikcji, a inspirację stanowił wiersz mistrza Adama o Leszku i Mieszku. A jak się stało, opowiem. Wybraliśmy się z kolegą na rowerach na wycieczkę do Ojcowa. Gdy odpoczywaliśmy na leśnej polance, coś burego i wielkiego mignęło między krzakami. „Niedźwiedź!" przemknęło mi przez myśl i czmychnąłem na drzewo. Kolega ukrył się za taborem złożonym z dwóch rowerów i dwóch plecaków. Wtedy wielki zwierz, nie, nie litewski, ani karpacki niedźwiedź, ale wilk jako żywo wpadł na naszą polanę. Tuż za nim jednak... gajowy, pogwizując dyscyplinująco na swojego wilczura. Ojcowskiego Parku Narodowego jeszcze wówczas nie było, wstęp do lasu wolny, ogniska nie paliliśmy, w dodatku grzecznie powiedzieliśmy „dzień dobry", więc po krótkiej rozmowie leśny strażnik poszedł dalej w swój obchód, a my podjęliśmy przerwany kanapkowy posiłek.

To w skrócie. A że w minione wakacje kolejny raz spędziłem miesiąc w willi Zosia na Złotej Górze właśnie w Ojcowie, więc opisy przyrody były urozmaicone, a przygody uprawdopodobnione. Pan gajowy to też postać autentyczna, miał u nas na kolonii pogadankę, jak należy zachować się w lesie. Nie jestem tylko pewien, czy miał wilczura. A jaki błąd wychwyciła dociekliwa pani polonistka? Otóż podczas ucieczki na drzewo śladem Mieszka, zamiast „wspinaczem" w moim wypracowaniu okazałem się niezłym „spinaczem" (może takim, jaki przydałby się do tych moich rozproszonych kartek). Na marginesie tego dawnego wspomnienia pragnę podać inne, niestety tragiczne, sprzed kilku lat. Obecny szef straży OPN, p. Marek Chochół, nawiasem mój były uczeń, którego przekonałem do Technikum Leśnego w Lesku, opowiadał, jak patrolując z kolegą teren Parku usłyszeli strzał z broni palnej. Sądząc, że to kłusownicy, pobiegli w tym kierunku. I wtedy padł drugi strzał, już całkiem blisko. Po chwili natknęli się na leżącą młodą dziewczynę, i obok jeszcze nieostygły pistolet. Strzał był niestety skuteczny. Podobno olkuszanka, a motyw – jak się potem okazało – sercowy. Marek mówił

21 Dziś trudno by dzieciom uwierzyć, ale wówczas wszystkie zeszyty (made in Klucze) miały okładki barwy niebieskiej, a na ostatniej wydrukowane były różności. Na zeszytach w kratkę tabliczka mnożenia, na tych w linie lub czystych – rozmaite reklamy i slogany charaktyerystyczne dla tamtych czasów, np.: „Zbieraj złom", „Zbieraj makulaturę", a nawet odkrywczy wierszyk: „Czy wiesz, że z gnidy będzie wesz?" z ryciną wypasionego pasożyta.

z przejęciem, że mglisty jesienny poranek dodawał majestatu i grozy tej tragicznej scenie w otoczeniu oszroniałych drzew.

Przejdźmy do innego przedmiotu szkolnego. Trudno uwierzyć, ale pani Królikowska, która uczyła mnie w kieleckiej „czwórce" matematyki, pracowała wcześniej w... Olkuszu, mówiła, że zna Kosmolów, a nawet moich rodziców. Wymagająca, nawet ostra, potrafiła nauczyć tego ponoć niełatwego przedmiotu jak mało kto. Odnoszę wrażenie, że miałem u p. Królikowskiej niejakie fory, a może po prostu nie sprawiałem większych problemów z przedmiotu, często zgłaszając się do odpowiedzi, na ogół sensownie. Raz tylko, zbyt pewny siebie, bez zastanowienia podniosłem rękę, a że to była jedyna wyciągnięta ręka, więc Pani oczywiście rzecze: „Proszę, Bigaj". Powoli podnoszę się i... nie wiem, co odpowiedzieć. Wszystkie oczy zwrócone na mnie. Cooo? Ten nowy znowu wie? A problem był taki: „Dziś będziemy mówić o liczbach wymiernych. Czy ktoś słyszał, co to są liczby wymierne?" Nikt nie słyszał. Ja też nie! A ręka się pochopnie podniosła w górę! Co tu powiedzieć, jak wybrnąć? Wstyd przeprosić, że to pomyłka. Sam siebie słyszę, jak dukam powoli coś w tym stylu: „Nooo, to są teee liiiczby, o których... się dotychczas jeszcze nie uczyliśmy". To nie śmiech, to wybuchł ryk dwudziestu zdrowych gardeł. Pani też miała uśmieszek na twarzy, ale pewnie zrobiło jej się żal niezłego w gruncie rzeczy ucznia, który się trochę zagalopował, gdy bowiem gejzer śmiechu młodych mieszczan kieleckich z narwanego wieśniaka przygasł, odzywa się tymi słowy: „Właściwie, biorąc z punktu widzenia logiki matematycznej i nauki o zbiorach liczbowych, to masz rację, ale o tym będziecie się uczyć później". Jakoś tak, w tym swoim wielkim stylu mnie wybroniła.

Z wielu przeróżnych zdarzeń, jakie niesie uczniowskie życie, przytoczę tu jeszcze jedno, choć niezbyt pochlebne dla mnie, a tyczyło się ono zeszytu do matematyki. Trzeba powiedzieć wprost, nie owijając w bawełnę, stan jego był więcej niż opłakany: pomięty, z oślimi uszami, plamami na okładce, a wewnątrz też nie wyglądało najlepiej. Do dziś pamiętam słowa zacnej Pani Profesor: „Straszny masz ten zeszyt! Powiem ci coś, ale na ucho, podejdź bliżej". Podszedłem. „Taki masz w tym zeszycie nieporządek, jak w niektórych chałupach w Kosmolowie". Brrr! Jakby mnie kubłem zimnej wody potraktował. A jednocześnie jakieś ciepło wdzięczności, że nie powiedziała tego głośno. Kupiłem na tę okoliczność nowy kajet. Starałem się prowadzić go czysto i porządnie, co w pewnym stopniu mi się udało. Tym niezbyt efektownym, ale efektywnym akcentem pedagogizującym żegnam panią Królikowską, wysoką, dystyngowaną brunetkę, której imienia niestety nie zapamiętałem, drugiego w mojej uczniowskiej karierze wspaniałego nauczyciela matematyki. Pierwszym był wcześniej wspomniany Stanisław Płoszaj, mój wychowawca w kosmolowskiej szkole (pierwszy to, ale nieostatni w mojej edukacji przypadek szczęśliwego sprzężenia: matematyk - wychowawca).

Muszę jeszcze krótko wspomnieć o przedmiocie, który jako drugi po matematyce uważałem za „swój", a mianowicie o fizyce. Nauczała jej starsza pani, Marta Jędruchowa, która prowadzała nas na zajęcia do innej szkoły, posiadającej świetnie wyposażoną pracownię fizyczną. To był raj! Przeróżne modele, aparatura, przyrządy optyczne, elektryczne etc. Praca w grupach, potem porównywanie wyników... - byłem w swoim żywiole. Za pierwszy okres (wówczas rok szkolny dzielił się na 4 okresy) miałem cztery z plusem, potem... nastąpił krach. Byłem pewny siebie, że fizyki nie muszę się uczyć, bo przecież umiem, a ponadto... byłem na etapie Pięcioksięgu przygód Sokolego Oka. Ze szlachetnym Vinnetou tylko co się rozstałem, a już czekała Szara wilczyca i jej syn Bari w mrożących krew w żyłach przygodach z Dalekiej Północy. Kiedyż miałem znaleźć czas na wykuwanie wzorów z fizyki, która była mi tak bliska, taka fajna i łatwa..., że na półrocze pani „Kaczusia" (tak ją nazywaliśmy) postawiła mi trzy, a na trzeci okres – o zgrozo! – dwa! Tak, autentycznie dwóję, a wtedy to nie był „mierny", lecz po prostu niedostateczny! Wiedziała mądra nauczycielka, jak lubię fizykę, i postanowiła mnie zmobilizować. Przejęty tą dotkliwą „krzywdą" namówiłem Irka Przybylskiego, mieszkającego nad Zalewem, abyśmy dwa-trzy razy w tygodniu po lekcjach, u niego w domu wkuwali fizykę. Efekt – na świadectwie mamy czwórki, z ustnym komentarzem: „Nie stawiam wam piątek, żeby wam się w głowach nie poprzewracało". Zacna, dobra pani Jędruchowa.

Z kierownikiem Szkoły, p. Półtorakiem, mieliśmy chyba tylko śpiew, ale zapamiętałem go, jak raz wszedł do naszej klasy na lekcji wychowawczej w towarzystwie odzianej w biały, służbowy kitel pani

dentystki, i oświadczył: „Badania wykazały, że 90% dzieci w naszej szkole choruje na próchnicę". Polecił, aby każdy z nas zajął sobie kolejkę w gabinecie dentystycznym, i nie wolno przerwać wizyt aż do wyleczenia wszystkich zębów. Wyznam, że wykonując posłusznie polecenie władzy szkolnej, z bezsprzeczną korzyścią dla mego uzębienia, do realizacji tego wykorzystywałem perfidnie lekcje historii. Ze wstydem się przyznaję, że nie przeszła mi awersja do tego przedmiotu aż do matury. Coś mogłaby na ten temat powiedzieć nasza „Ciocia", pani prof. Cembrzyńska. Dziś, jako człowiek wiekowy, mało powiedzieć, że historię polubiłem, ja ją wręcz pokochałem! I dziwię się, jak można było nie lubić tak fantastycznego przedmiotu i przeżywać dylemat: „matematyka, czy historia?" Chyba..., że... jakimś nieznanym zmysłem wyczuwałem, że historia, jakiej nas uczono w szkołach, to nie była tak naprawdę historia, ale – nie wiem jak to powiedzieć – może „antyhistoria". Po prostu jeden wielki fałsz! Niby daty wojen się zgadzały, pewne fakty też, jak bitwa pod Grunwaldem, ale... właśnie to „ale". Czy dziś historii się nie fałszuje? Zapewne też, ale to już temat na osobną opowieść.

Niedawno, postanowiwszy odwiedzić moją kielecką podstawówkę, wstąpiłem do baraku, w którym się mieściła. I cóż skonstatowałem: barak zmodernizowano, a salę gimnastyczną zaadaptowano na kaplicę. Teren należał teraz do kieleckiej Kurii. Zapewne rychło stanie tam świątynia. Moja „czwórka" została przeniesiona zapewne do lepszej siedziby. Nie chciałem szukać tej nowej, choćby najnowocześniejszej; nijak nie pasowałaby ona do moich wspomnień, nieodłącznie związanych ze ścianami tego tu baraku. Wszedłem do kaplicy, zaszyłem się w kąciku, i tak mniej więcej wyglądała moja modlitwa-westchnienie: „Spoczywaj w pokoju poczciwa, stara, kochana budo kielecka"!

Pod Kielcami była prawdziwa skocznia narciarska, na którą wspinaliśmy się (bez nart) tylko latem, żeby zasiąść na oryginalnej belce startowej. Na Karczówce podziwialiśmy wspaniały zespół poklasztorny z panoramą na Kielce i Góry Świętokrzyskie. Ówczesny proboszcz Karczówki, ks. Sobolewski niedługo potem przejął na wiele lat moją rodzinną parafię w Przegini. Tuż za rogatką Szydłówka roztaczał się zalew, gdzie można było wypożyczyć łódki, przez nas siedmioklasistów i kolegów z ulicy zawsze przeciążone. Wiosłować umieliśmy, i owszem, ale pływać słabo, karty nikt nie posiadał, a o ratownikach aniśmy słyszeli. Aż dziw, że eskapady kończyły się szczęśliwie. Było wreszcie stałe Wesołe Miasteczko nad Silnicą. Ileż potu wylaliśmy pchając w ukryciu własnymi ramionami ramiona karuzeli, aby potem właściciel pozwolił za darmo skorzystać z uroków przejażdżki. Niektóre prostsze urządzenia (łódki-huśtawki) były całkiem bezpłatne, a czasem przyjeżdżała ogromna prawdziwa karuzela napędzana motorem spalinowym. Z nią związany jest pewien incydent. Jeżeli akurat, wytrwały Czytelniku, coś konsumujesz, to przerwij bądź czytanie, bądź konsumpcję, ponieważ incydent jest zgoła nieapetyczny. Otóż stoimy wszyscy trzej i z zadartymi głowami śledzimy z zazdrością podniebne loty szczęśliwców na wielkiej niby „diabelski młyn" prawdziwej karuzeli. Pogoda cudna, na niebie ani jednej chmurki, a ja czuję na twarzy jakby kropelki deszczu. Obcieram się machinalnie i śledzę dalej czarowne, niemal kosmiczne loty. Za chwilę znowu coś kropi. Nagle słyszę okrzyk jednego z „ziemian": „Rzyga!" Tak! Uświadamiam sobie straszną prawdę: z jednej gondoli przywiązany łańcuchami nieszczęśnik wypuszcza co jakiś czas imponującego pawia, a siła odśrodkowa robi swoje. Karuzela zwalnia, staje, rodzina zabiera lekko zataczającego się z pobladłą twarzą amatora vel ofiarę wirowania. Właściwymi ofiarami, do tego absolutnie niewinnymi, byliśmy jednak my, obserwujący. Z niesmakiem długo doprowadzaliśmy nad rzeką do porządku swoją garderobę i wróciliśmy jak niepyszni do swojej znajomej, poczciwej, napędzanej nożnie karuzeli.

To były atrakcje w niedzielne popołudnia. Przedpołudnia spędzaliśmy w ogromnej, wspaniałej kieleckiej katedrze: Mając oparcie w kręgach seminaryjnych byliśmy gorliwymi ministrantami. Przypadkiem był to okres obfitujący w ważne, a nawet nadzwyczajne wydarzenia w Kurii kieleckiej. Niedawno wypuszczono z więzienia ordynariusza, księdza bpa Czesława Kaczmarka. Gdy zmarł bp pomocniczy Sonik, jako wzorowi ministranci braliśmy udział w jego uroczystościach pogrzebowych. Po niedługim czasie wyświęcono dwóch sufraganów, którzy więzieni z biskupem Kaczmarkiem w Warszawie, wrócili wraz z nim do Kielc, a byli to: ks. prof. J. Jaroszewicz (podobno kuzyn, jeśli nie brat późniejszego premiera tow. Piotra) i S. Sobalkowski, rektor Seminarium. Nazajutrz po konsekracji biskup Sobalkowski umiera w czasie pielgrzymki dziękczynnej na Jasną Górę. I te wszystkie sensacje w jednym

roku! Roku poodwilżowym, kiedy dławiona[22] religijność ludu świętokrzyskiego wybucha z ogromną siłą. Nietrudno sobie wyobrazić bogactwo uroczystości katedralnych, to smutnych, to radosnych, ale zawsze w uroczystej oprawie, a czasem z iście bizantyjskim przepychem. Ministranci mieli pełne ręce roboty, służąc do Mszy wielu księżom, miejscowym i przybyłym z całej Polski. Dochodziła także motywacja materialna, gdyż niejeden celebrans po zakończeniu posługi, w zakrystii wciskał w podstawioną łakomie dłoń parę groszaków. Oj, dobrze nam się wiodło w Klerykowie! Dziś, kiedy wiem wiele o Paryżu, również z autopsji, śmiało rzec mogę, że ówczesne moje Kielce jeszcze bardziej, niż stolica Francji dla Napoleona, dla mnie „warte były Mszy", i to niejednej.

Tylko co konsekrowani Nominaci-Sufragani Kurii Kieleckiej: bp S.Sobalkowski (nazajutrz umiera przed Obrazem M. B.Częstochowskiej), bp J.Jaroszewicz, z lewej J.E. bp Czesław Kaczmarek – Ordynariusz Kielecki, z prawej Ks. Prałat Rektor Seminarium- ks. Zygmunt Pilch

W niedziele z rana starałem się zawsze wykroić godzinkę czasu na tzw. poranek, tzn. specjalne seanse filmowe dla młodzieży szkolnej. Szkoda, że i tam trafiała się zwykła, ordynarna sowiecko-podobna propaganda, o roześmianych traktorzystkach, wspaniałych pionierach i najszczęśliwszych narodach w najsprawiedliwszym ustroju świata[23]. Na ogół jednak szczęściem były to filmy przyrodnicze, oświatowe, przygodowe, które pochłanialiśmy z zapartym tchem. Co do mnie, starałem się nie opuścić ani jednego poranka w kinie (niestety nazwa umknęła) na przecięciu ulicy Sienkiewicza i rzeki Silnicy, skąd potem biegiem ulicą Śliską na wzgórze katedralne. W biegu wyciągam zza pazuchy komżę, i do roboty...

A w świątek i piątek, czyli tak w święta jak w dni powszednie wpadało się na ul. Świerczewskiego 27, do sąsiadującego z kościółkiem Świętej Trójcy (gdzie też miewały miejsce nasze ministranckie usługi) Seminarium. Tam kleryk Jan, czasem ktoś z jego kolegów lub przełożonych miał coś dla nas, tzn. nie tylko jakiś prezent, co nie było rzadkością, ale także – bywało – zlecenie, jak zakup medykamentów, biletu kolejowego, lub – w co dziś trudno uwierzyć, a co spełnialiśmy wyjątkowo często – oddawanie długopisów do napełniania, którego dokonywano w specjalnych punktach. Niejeden raz kupowaliśmy lekarstwa dla pochodzącego z Olkusza Kordaszewskiego, lub dla Jankowego przyjaciela, Stefana Borowca, który wspominał o tym, kiedyśmy go niedawno odwiedzili w Domu XX Emerytów w Kielcach. Wśród wspomnień były i te związane z należącym podówczas do diecezji kieleckiej Olkuszem, gdzie ks. Stefan kilka lat przepracował. I tak to krzyżowały się nasze **życiowe drogi** na gruncie kieleckim i olkuskim. A niewygasła przyjaźń mego brata z tym zasłużonym kapłanem sprawiła,

22 Por. wcześniejszą aluzję do sierpa i młota.

23 Zob. tamże.

że zostaliśmy zaproszeni do Dąbrówki, gdzie podziwialiśmy wybudowany przez niego piękny kościół, na plebanii zaś raczyliśmy się wyśmienitym obiadem.

A świętokrzyska zima! To były dopiero atrakcje! Drogi mało gdzie i skąpo posypane piaskiem, nikt nie słyszał o polewaniu solanką. Kilka autobusów jakoś sobie radziło z białą nawierzchnią, czasem pomagali pasażerowie. Trzy, jak pamiętam, taksówki: jedna Pobieda i dwie Warszawy, próbowały konkurować z konnymi dorożkami, zawsze niezawodnymi, nawet w zasapach śnieżnych, gdyż na zimę koła zastępowano płozami. Dorożkarskie sanie przepisowo dzwoniły dzwoneczkami przypominając, niczym te z katedry, o nadchodzących Świętach. Białe Kielce to dla dziatwy raj prawdziwy: z saneczkami na Psie Górki, z nartami wypożyczonymi w szkole – na Kadzielnię, albo na Karczówkę. Łyżwy miałem swoje, śniegówki przykręcane do butów. Rozkosznie było pomykać na łyżwach po prostu ulicami, albo alejkami wielkiego parku vis-à-vis Seminarium. Że czasem potłukło się kolano, albo innego guza nabiło – nic to! Szybko się pozbieraj, obtrzep porcięta, aby nie zauważyły spacerujące nieopodal koleżanki ze szkoły, lub z sąsiedniej ulicy. Ważna pewna mina i czapka na bakier.

Wyjazd na Święta do domu, to po prostu cała ceremonia. Zimowym świtem brzuchata lokomotywa parskając obłokami pary wtaczała się na peron jeszcze starego dworca. Okienka w wagonach zaszroniałe. Gdzieniegdzie odchuchane okrągłe otworki, ale w większości okien jakieś niesamowite kwiaty i czarodziejskie cudnych kształtów figury. Ławki drewniane z listewek, nad nimi takież półki na bagaż. Pociąg mocno zatłoczony, ale wsiąść i wysiąść łatwo, bo drzwi są w każdym przedziale, nie tak jak w dzisiejszych pulmanach tylko na końcach wagonów. Na każdej stacji wsiada i wysiada mnóstwo podróżnych, a w większych miastach (Kielce, Jędrzejów, Sędziszów, Wolbrom, Olkusz) po prostu tłumy! Pociąg jedzie do Krakowa, więc trzeba się przesiąść, w Sędziszowie albo w Tunelu, tuż po przejechaniu rzeczywistego tunelu, ciemnego i trochę groźnego, choć z lekka rozświetlanego przemykającymi w przeciwnym kierunku lampami[24]. Latem trzeba dobrze zamykać okna, bo tumany pary, a zwłaszcza dymu wdzierają się do przedziału, ale teraz, zimą nie ma tego problemu, wszak okna są na głucho zamknięte[25].

Stację Tunel raczej trudno przegapić, ale potem... Trzeba na czas odchuchać okienko, żeby zobaczyć, jaka to stacja i nie przejechać kochanego Olkusza. Dopiero Wolbrom... Oooo, to jeszcze z pół godziny! Mijamy Jaroszowiec, rabsztyńskie lasy i nagle... jakieś miłe ukłucie w okolicy serca, a w dziecięcych oczach jakby lekka mgła: oto przy dokładnie zamkniętych szlabanach (obecnie wiadukt) przecinamy drogę wiodącą w kierunku rodzinnej chaty... To tylko sześć kilometrów! Maszynista triumfalnym gwizdem wita Olkusz. Po lewej tartak, za nim Fabryka Naczyń Emaliowanych, po prawej – druga fabryka, Wentylatory, magazyny... i już dobrze znajoma stacja. Wylewa się masa ludzi, kolejowi urzędnicy w przejściu odbierają zużyte bilety (do dziś nie wiem, po co) i... Nie, jeszcze nie do domu, Adolek zostaje na poczekalni przy wspólnych bagażach, a my z bratem musimy wykonać poważne zlecenie.

Młodszy kolega Janka, Janusz Chwast, późniejszy proboszcz i budowniczy kościoła w Kosmolowie, darząc nas zaufaniem prosił, abyśmy podrzucili do jego domu walizkę, sam bowiem pojechał dalej, do Sławkowa. Taszczymy więc walizę na dziś już nieistniejący Plac Fabryczny, i wręczamy ją pani Chwastowej. Czy mogłem przypuszczać, że jestem pod oknem późniejszej koleżanki z Liceum, Ani Kaszubianki, mieszkającej piętro wyżej? Prawda, jaki mały jest świat? W dodatku mój Tata pracował w Fabryce razem z panem Kaszubą, o czym dowiedziałem się dopiero znacznie później, będąc z niby to szkolną wizytą u Ani. Aby pogłębić ten temat wspomnę jeszcze, jak to nasz Wychowawca zorganizował pójście do kina „Orzeł" na film Odwiedziny prezydenta. Ja i jeszcze któryś kolega z internatu mieliśmy odebrać bilety i rozdać klasie przed kinem. Pewny swego, poukładałem je sobie tak, aby mieć miejsce właśnie obok Ani. Niestety, jakiś kinowy chochlik pomieszał mi bilety, i siedziałem nie dość że między Leszkiem a jakimś grubym jegomościem, to jeszcze dokładnie za wysokim Mundkiem, który mi zasłaniał pół ekranu. Niemniej film obejrzeliśmy z zainteresowaniem, był mądry, pouczający, a nawet wzruszający.

24 Dziś, kiedy pomykam niezliczoną ilość razy tunelami Europy, jak Elbe-Tunnel w Hamburgu, Kennedy Tunnel w Antwerpii, na platformie ekspresu pod kanałem La Manche, dziesiątkami tuneli w Szwajcarii, to nawet ten najdłuższy, 17-kilometrowy pod przełęczą św. Gotharda, nie robi na mnie takiego wrażenia, jak tamten tunelik w naszym Tunelu.

25 Jak w radzieckich pociągach, i to przez cały rok, nawet w upalne dni, z czym nieraz potem się spotykałem.

O wielu innych wspólnych imprezach organizowanych przez naszego wspaniałego Wychowawcę będzie jeszcze mowa w następnej części, a tymczasem z malowniczo zasypanego śniegiem Placu Fabrycznego wracamy z bratem Stasiem na dworzec. Po drodze przychodzi mi myśl, czy czasem Tata nie stoi saniami pod magazynami PZGS, gdzie była też hurtownia dla prywatnych sklepów. Magazyny te stoją do dziś na ulicy Składowej blisko dworca. Może to jakaś telepatia, bo tylko to pomyślałem, a widzę znajomego kasztanka, nazywanego przez nas Waluś, zajadającego coś z przywiązanego do głowy worka. Poznał nas, bo zarżał z cicha, a potem głośno parsknął. Za chwilę przyszedł i Woźnica. Nie da się zapomnieć, ani opisać tej radości. Ładujemy się z całym majdanem na ojcowskie sanie, pomagamy Walusiowi pod ostrą górkę ul. Partyzantów, i wiooo... do Domu! Na Święta! Literatura zna tysiące opisów takich powrotów, każdy inny, a wszystkie podobne, niemal tak uroczyste, jak ten nadchodzący, świąteczny czas. Moje ubogie pióro nie podejmuje się ani w części opisać, jakie uczucia wzbudzał powrót dziecka po czterech miesiącach pobytu poza domem, jak biało skrzył się śnieg zaraz za tartakiem, za mostkiem na rzeczce Babie, jak kłujący był ojcowski zarost przy powitaniu. Zapewne ostre zimowe słońce sprawiało, że ukradkiem trzeba było ocierać oczy. Kielce zostały daleko. Powrót dopiero po Trzech Królach, a od dziś dwutygodniowe ferie w rodzinnym gronie. Proszę o wybaczenie pyszałkowatości: obfitym, dorodnym gronie, chociaż nigdy w całej swojej okazałej pełni.

Rok 1966 w Kosmolowie. Od lewej: Wujek Jan (John) Śmigielski, Tolek, Staszek, Marysia, Adam (kuzyn), Ciocia Janina z Kalinowskich Śmigielska, Ja (Boguś), Stasia Tarnowska (wówczas moja narzeczona), najmłodszy brat Władzio, Marianna Tarnowska, Marian, Wanda, Stanisław Tarnowski, Mama, Tato.

Albowiem na koniec tej części opowieści jestem zmuszony kroplę dziegciu, jak to w życiu bywa, dorzucić. Otóż nigdy, powtarzam: nigdy nie udało nam się wszystkim, tzn. jedenaściorgu dzieci plus rodzice, razem spotkać. Do 1959 nie było jeszcze najmłodszego, Władysława, a od 1979 nie było już naszego kochanego Taty, a w tzw. „międzyczasie" dwudziestu dzielących te dwie daty lat zawsze kogoś brakowało. Z różnych ważnych przyczyn: a to Stasio w wojsku (nie dostał przepustki na prymicje brata!), a to Marysia w Australii, a to komuś akurat coś ważnego wypadło, itd., itp. Niemniej jestem pewien, że i taka chwila kiedyś nadejdzie, jeśli wierzyć za Einsteinem, że wszystko na tym świecie jest względne, nawet czas..., a za innymi myślicielami, że są powroty...

Od Klerykowa pod opiekę św. Franciszka

Gdy roczna przygoda z Klerykowem, jak przezwał bardzo trafnie sympatyczne Kielce mądry Żeromski, dobiegła końca, silna grupa trzech przyjaciół rozpadła się: Stanisław wrócił do kosmolowskiej, już nowej szkoły, pod opiekę młodej, miłej nauczycielki, Janiny Świerczek (potem Wilkosz), z którą wiele razy spotykałem się na konferencjach nauczycieli, w tym także opiekunów spółdzielni uczniowskich w olkuskim PSS-ie. Stasio mówi, że tamten rok samodzielności był dla niego dobrą szkołą życia. Adolek, obecnie Andrzej, pozostał w Kielcach, dziś jest dyrektorem banku w Krakowie. Ja zaś, ze świadectwem ukończenia Szkoły Podstawowej nr 4 w Kielcach rozpocząłem naukę w liceum. Jednak jeszcze nie w Olkuszu, lecz w prywatnej szkole z internatem, prowadzonej przez OO Reformatów w Wieliczce. Wynalazł dla mnie tę szkołę Ojciec, który stan duchowny widział jako dobro, warte do polecenia swym dzieciom. A miał sposobność przemyśleć te sprawy na pielgrzymkach, które prowadził jako przewodnik, czy to na wałach jasnogórskich, czy na dróżkach kalwaryjskich. W ten sposób te Jego **dróżki**, jak i trasy pieszego do nich pielgrzymowania, odcisnęły się na moich **drogach**. Ojciec miał w swej naturze i podejściu do życia coś ze św. Franciszka z Assyżu, zresztą swego Patrona z imienia.

Dwa wielickie piękne lata będą w niniejszym rozdziale tematem kolejnego ciągu wspomnień, ale zanim to nastąpi, pozwól mi, Wierny Czytelniku, mocnym akcentem zaznaczyć rozbrat z Ziemią Świętokrzyską, relacją zdarzenia, którego animatorem jest nie kto inny, jak wymieniany tu już nieraz brat Janek. Oto początek wakacji, u mnie tylko co ukończonych latek czternaście... Oddelegowany przez Tatę jadę do Kielc, aby zabrać resztę rzeczy i uregulować zaległe sprawy, m.in. wymeldować siebie i brata, zgodnie z ówczesnym obowiązkiem. Mam też zlecone zobaczyć się z Jankiem, który na swojej drodze w poszukiwaniu Prawdy postanawia, ku zgrozie Rodziny i rozpaczy Mamy, przerwać naukę w Seminarium i podjąć studia na poznańskim Uniwersytecie. Każdy z nas rozpoczynał nowy etap w młodym życiu, choć na różnych poziomach. I u tego to początku naszych nowych **dróg** przeżyliśmy wspólną przygodę.

Po załatwieniu wszystkich spraw, zbierałem się na pociąg. A że pociągów z Kielc w kierunku Olkusza było wówczas wiele, więc bez trudu udało się Jankowi nakłonić mnie, aby z porannego wysiąść w Sobkowie k. Chęcin, a dalej pojechać wieczornym. Po co taki manewr? A to właśnie ten mocny, już wakacyjny akcent. Przez Sobków przepływa wielkiej urody rzeka Nida, opiewana przez Żeromskiego, Dygasińskiego i innych, a tuż przy dworcu znajdowała się w owych czasach wypożyczalnia kajaków. Janek z kolegami z Seminarium już smakował tutaj uroków wiosłowania. Dla mnie to miała być pierwszyzna. Wiosłujemy pod prąd całą siłą młodych ramion aż daleko za Chęciny, opływając majestatyczne ruiny zamczyska. Osłabli, ale szczęśliwi, decydujemy się dobrze po południu na zawrotkę. Z prądem, jak w piosence: „sama woda łódkę niesie". Naszych prześladowców już nie było, więc bez przeszkód o zmierzchu postawiliśmy drżące ze zmęczenia i głodu stopy na molo przystani.

A cóż to za „prześladowcy"? Otóż chronologicznie powinienem był napisać, że przed południem, gdzieś w połowie drogi, kilku miejscowych chłopców usiłowało nasz kajak wywrócić. Kapitan jednostki zdecydował, że on całą mocą ciągnie naprzód, a załoga walczy, tj. ja zbrojny wiosłem leję, gdzie popadnie. I tak odparliśmy atak. Nie mieli szans dogonić nas wpław, rzucali kamieniami, ale niecelnie. Zakrzaczone brzegi dawały niezłą ochronę, a Nida była chyba sporo większa, niż dziś. Była to bitwa, no przynajmniej potyczka regularna, prawdziwa, nie to co kilka lat później te pozory bojów na podzamkowym wzgórzu, z dobudowanymi tekturowymi szańcami i basztami podczas realizacji filmu Pan Wołodyjowski, gdy Chęcinom przyszło udawać Zbaraż (Kamieniec?). Upojeni zwycięstwem, o którym nie zapominaliśmy wracając wartko z prądem, szczęśliwie przybiliśmy do brzegu i wylądowali w miejscu, z którego z rana wyruszyliśmy.

Nasza gospopdyni przystani, już szczerze zmartwiona losem spóźnionych kajakarzy, z radością wydawała nam bagaże, a potem po przystępnej cenie przyrządziła królewską kolację z bochna chleba, dziesięciu jaj, z popitkiem. Jajka miały być na miękko, ale... tak się zagadaliśmy z gospodynią o naszej wodnej eskapadzie, że wyszły całkiem na twardo. Ja to tak pamiętam, choć Janek twierdzi, że to była

jajecznica. Jak by nie było, koniec końców na tym życiowym etapie rozjechaliśmy się: on do Kielc, ja do Olkusza, nocnymi pociągami, uwożąc w plecakach cudowne, bardzo miłe mimo drobnego incydentu, a dla mnie całkiem nowe wrażenia. Ilekroć przejeżdżam siódemką obok Chęcin, to na moście nad Nidą, nie wiedzieć dlaczego, serce nieco przyspiesza swój rytm. Może dlatego, że to już starość za pasem? Nie, nie za pasem, ona już na karku.

Wakacje między Kielcami a Wieliczką przeszły szybko i bez ekstrawagancji, jeśli nie liczyć współzawodnictwa między braćmi, kto dłużej wytrzyma bez... mycia rąk. Wstyd się przyznać, lecz wygrałem. Rekord wyniósł dwa tygodnie. A oto jak wyglądała rywalizacja. Ojcowski sklep już był w likwidacji. Pewien zaprzyjaźniony pracownik PPRN w Olkuszu powiedział wprost: „Bigaju, nie płaćcie tego domiaru, bo jak zapłacicie, to za jakiś czas dostaniecie nowy, większy, bo będą wiedzieli, że was stać. Zlikwidujcie sklep, bo oni do tego dążą". Nie było powiedziane wprost, kto są ci „Oni". Ale byliśmy pewni, że to jakieś moce Zła, z którymi wygrać niepodobna. Aby poprawić budżet rodzinny, Ojciec postanowił poprosić leśniczego, pana Bakalarczyka z Olewina (którego córka Ewa chodziła do naszego Liceum), o obszar leśnych prac, które polegały na tzw. żywicowaniu, czyli nacinaniu sosen specjalnymi nożami w taki sposób, aby żywica spływała do podstawionych pojemniczków. Skrzepłą, ale nie całkiem stwardniałą żywicę przekładało się do beczek, a te zabierano gdzieś dla przemysłu chemicznego. I w tych to pracach mieliśmy w charakterze pomocników Taty brać udział my, niedawni kielczanie.

Tak „dojonych" drzew były setki, jeśli nie tysiące. Oczywiście pozyskiwano żywicę tylko z drzew starych, przeznaczonych do wycinki. Niemniej miałem wtedy, i do dziś odnoszę takie wrażenie, że to było jakby jakieś niemoralne ranienie żywego przecież organizmu drzewa. Biedaczyna z Asyżu, pod którego opiekę miałem udać się po wakacjach, uczył nas, że wszystko, co żyje, to nasi Bracia Mniejsi. Ja dopytuję, czy wszystko również odczuwa ból i cierpienie. Jeśli tak, to skóra cierpnie, to zgroza: błękitna planeta, Ziemia, na cierpieniu stoi[26]. Kiedy rowek zasychał (czytaj: rana się zabliźniała), leśny robotnik (oprawca) ciął następną szramę. I tak co dwa-trzy dni – przez całe lato wytaczanie krwi z żywin bezbronnych.

Kto zetknął się z żywicą wie, że w rękawicach robić tego niepodobna. Lepka jest bowiem ta masa żywiczna, najpierw przezroczysta, potem biało-szara zakrzepła krew sosny. Pracowaliśmy w tych olkuskich lasach od świtu do zmierzchu sześć dni w tygodniu. Wieczorem należało umyć ręce, jednak woda ani mydło nie były tu skuteczne. Dostawaliśmy do mycia jakiś rozpuszczalnik, coś podobnego do benzyny, i równie podobnie śmierdzącego. Niekiedy zdarzało się zmęczonemu zasnąć bez zmycia warstwy żywicznej jakby przyschłej rękawiczki. Z czasem doszliśmy do wniosku, że do uchwycenia łyżki przy jedzeniu nie są konieczne wszystkie palce, a właściwie to wystarczą końcówki dwóch, nie ma więc potrzeby całkowitego usuwania skorupy. Nie wiem, który z nas wpadł na pomysł współzawodnictwa, nie tylko, kto więcej drzew zatnie, ale i kto dłużej wytrzyma bez zmywania coraz grubszej warstwy żywicy na rękach. Nie wyglądało to estetycznie, ale żeby było niehigieniczne, przy tym bym nie obstawał.

Wszak żywica, podobnie jak krew ludzka, ma własności dezynfekcyjne i konserwujące. Dowody: Nikt z nas przez całe wakacje nie chorował, a znane są przypadki całych owadów i większych stworzeń zalanych żywicą przed wielu tysiącami lat, i wyglądających dziś jak żywe w bursztynie. Mój „bursztyn" był jeszcze bardzo młody, gdy po dwóch tygodniach zaczął grubymi płatami odpadać, a pod nim ukazywała się delikatna jak pupa niemowlaka, czyściutka moja własna skóra. Na niedomyte wyglądały tylko te końcówki palców, które pracowicie, przy pomocy szczotki, traktowałem co dzień służbową terpentyną. Lecz oto i wakacje AD 1960 się kończą, i czas wyjść z lasu, aby nie spotkało nas coś podobnego jak owych partyzantów w lubelskich lasach, których w stanie wojennym wytropiło ZOMO. Rozpoznawszy, że to autentyczni partyzanci, tłumaczą im jak dzieciom, że wojna dawno się skończyła i teraz mamy nowy ustrój, lepszy, sprawiedliwszy. Oni zaś w zakłopotaniu: „Taaak? A my nie otrzymalim rozkazu i tak te pociągi idące na wschód wciąż wysadzamy i wysadzamy..."

26 Trzecia po Ptolomejskim i Galileuszowym systemie koncepcja: dolorocentryzm. Ktoś wystąpił z czwartą, która nawet odpowiadała bratu Jankowi, mianowicie z prawdocentryzmem.

Ale dość żartów! Wszak *ad maiora nati sumus!* („stworzeniśmy do wyższych rzeczy"). Czas pakować nowo wyfasowaną walizę, żegnać domowe pielesze, kosmolowskie bezdroża, zdroża, że o drogach nie wspomnę, i **w drogę!** 31 sierpnia 1959 wyruszamy z Tatą do Wieliczki. Po krótkiej podróży do Krakowa, a jeszcze krótszej do Wieliczki, w towarzystwie niezmordowanego Taty stukamy do furty klasztoru. Choć droga nieskomplikowana i – w porównaniu choćby z Kielcami – niezbyt długa, że mógłbym sobie z łatwością sam poradzić, to Ojciec chciał być przy moim zakwaterowaniu i pewnie załatwić niezbędne jego zdaniem w takich razach formalności. No i taszczył ogromną tekturową walizę, podczas gdy ja tylko lekki plecaczek. Wielkiej urody kompleks klasztorny OO Reformatów przy ul. Narutowicza 27 widać było od samego dworca Wieliczka Rynek. U bramy pociągało się wielką rączkę, a ta za pomocą wielu mechanizmów przywoływała brata furtiana, który uprzejmie nas przywitał i zawiódł do Ojca Aleksandra.

Po krótkim pożegnaniu, Tata składa pokorny pokłon M. B. Anielskiej, patronce zakonu, skłania się przed obrazem Sługi Bożego Alojzego Kosiby, i już śpieszy na stację. Widzę jak znika w drzwiach pociągu relacji Wieliczka Rynek – Kraków Główny. Teraz ja przystępuję do rozpakowywania się, obmywam podróżne prochy, i jakoś mi tak dziwnie markotno...O. Aleksander miał być naszym – co dla mnie brzmiało dość groźnie – Prefektem, a okazał się miłym, uśmiechniętym i łagodnym Wychowawcą, Opiekunem i Przyjacielem, a nawet Powiernikiem. To był dusza człowiek, chyba bez nerwów, zapewne dany nam na początek, aby osłodzić rozstanie z rodziną, dla niektórych chłopców przecież już na całe życie. Potem zastąpił go Ojciec Maksymilian, który był przeciwieństwem poprzednika i natychmiast wprowadził niemal wojskową dyscyplinę. Żadnych mazgajstw, żadnych niesubordynacji. Był maksymalistą, jak wskazywało jego imię zakonne, i konsekwentnie zgodnie z tym swoim *nomen omen* postępował.

Czy to nie nazbyt nagły przeskok ze świątyni lasu, leśnych barw rozmaitych i śpiewu ptaków, w nastrój świątyni prawdziwej, ze złoceniami baroku i śpiewami gregoriańskimi, a także... do powagi refektarza? Podczas posiłków lektor zawsze coś czytał, na ogół coś mądrego a „lekkostrawnego", ale bywały i lektury poważniejsze. Na początku mego pobytu słuchaliśmy przy obiedzie o aktualnie najświeższych przeżyciach Ojca Pio, stygmatyka i wizjonera, który za parę lat spotka się z przyszłym papieżem, Karolem Wojtyłą, i przepowie mu wybór na Stolicę Piotrową. Notabene w tym właśnie roku umiera papież Pius XII.

Zajeżdżali tu czasem z nieodległego Krakowa klerycy, już w habitach, a wśród nich dwaj diakoni z ostatniego roku, tuż przed święceniami: o. Grzegorz i o. Piotr. Obaj skromni, niewielkiego wzrostu, wyglądali jak nasi starsi koledzy, i za takich kazali się uważać. Imponowali nam wiedzą, a także znajomością służby liturgicznej. O. Grzegorz Wiśniewski do dziś kieruje krakowskim klasztorem na ul. Reformackiej, natomiast O. Piotr Grążowski od nowego roku został naszym prefektem. Rektorem Kolegium (odpowiednik dyrektora liceum) był O. Wenanty Miziniak przedwojenny lwowiak,wielki humanista i niemniejszy humorysta, używający powiedzenia „Panie Dzieju", a częściej jego zdrobniałej formy „Paniedziejku". Uczył nas języka polskiego i łaciny. Kiedy pierwszy sprawdzian z łaciny napisałem na niedostatecznie, oddając prawie pustą kartkę (kompletnie nie wiedziałem, o co chodzi), powiedział tylko: „Oj, biedny Bigajku!"

Nazajutrz, gdy zamiast łacinnika wszedł nowy nauczyciel języka niemieckiego, bardzo się ucieszyłem, że już tak będzie na stałe. Po ustabilizowaniu się rozkładu zajęć okazało się, że i łacina będzie, i niemiecki, do tego rosyjski, a nawet grecki, co razem z ojczystym dawało pięć języków! Silna dawka, nie ma co! Istny Babel! I choć powolutku wszystko to jakoś znajdowało umiejscowienie w młodej mózgownicy, to jednak święto miałem wtedy, gdy była matematyka, fizyka, chemia, lub … rysunek techniczny. Matematyk, prof. Antoni Bąbała, postrach wszystkich młodzieniaszków, był dla mnie, jakby to dziś określić – guru. Dość powiedzieć, że tylko kilka, może trzy, cztery razy za całe dwa lata wyrzucił mnie za drzwi. Jego krótkie: „Szur, chłopaczku!" znaczyło, że uczeń mu przeszkadza i musi za drzwiami spędzić resztę lekcji. Po dzwonku wystarczyło powiedzieć sakramentalne „przepraszam", i było po sprawie. Nie notował incydentu w dzienniku. Gorzej, jeśli delikwenta spotkał na korytarzu o. Prefekt (czyli wychowawca), albo, nie daj Boże, sam o. Rektor (czyli po naszemu dyrektor). Wów-

czas zaczynały się schody: dochodzenia, tłumaczenia, przyrzekania, a nawet – co najgorsze – powiadomienie rodziców.

Myślę, że odczucia moje potwierdziłby kolega z licealnej ławki, Andrzej, który ósmą i dziewiątą klasę zaliczał w analogicznej, tyle że bardziej znanej szkole u Pijarów: dano nam doskonałe warunki do nauki i rozwoju. Za czasów „dyktatury ciemniaków", my za klasztornym murem żyliśmy jak u Pana Boga za piecem, w przyzwoitych warunkach mieszkaniowych, z całkiem znośnym wyżywieniem. Atmosfera sprzyjała nauce, mieliśmy znakomitych pedagogów, bogato wyposażone biblioteki, ustabilizowany porządek dnia – czegóż chcieć więcej? Inaczej przedstawia się sprawa naszej wiary, pobożności w potocznym tego słowa znaczeniu. Czy religijność wyniesiona z domu rodzinnego została tam, w tym domu-pensjonacie Bożym umocniona, czy może nadwyrężona? Podobno nie ma głupich pytań, są tylko takie odpowiedzi. W tym przypadku żadna odpowiedź nie wydaje mi się mądra. Niech w zamian posłuży zasłyszana gdzieś cytata: „Wiara jest cennym dobrem, którego zaznało wielu. Ale wielu też nie była dana".

A propos przytoczę transcendentalne zdarzenie z ferii świątecznych. Gdy zjeżdżaliśmy na Święta do domu, bywało, że zapracowana Matka nie zdążyła z tradycyjnymi, świątecznymi porządkami. W dość wygodnym jak na tamte czasy naszym domu była wielka sień i trzy izby: kuchnia, tzw. „sklep" i tzw. „duża izba". W niej właśnie, wypucowanej, pachnącej, Ojciec rozłożył snop słomy, do którego nie umywały się najbardziej sprężyste materace, a służył nam za jednonocne, jakże romantyczne posłanie. We wstawianym tylko na zimę piecyku, tzw. kozie, ogień buzował że hej, a wylewające się z niego lube ciepło usypiało nas, zmęczonych podróżą błyskawicznie, czasem w połowie opowieści o swoich przeżyciach z dala od domu. Mama, przycupnąwszy gdzieś w kuchni też przysnęła snem sprawiedliwym. Nagle wpada do nas śpiących z krzykiem: „Dzieci!" i rozgarnia coś w pobliżu pieca. Okazuje się, że od rozgrzanej do czerwoności kozy zajęły się leżące na podłodze słomki i... na szczęście nic się nie stało, ale do tragedii było naprawdę blisko! Ojca nie było w domu. Poszedł już do pracy na nocną zmianę. Gdzieś koło Sieniczna uprzytomnił sobie, że nie zamknął popielnika w rozgrzanym piecyku i czym to może grozić. Później mówił, że p;ełen trwogi, ale i nadziei na pom oc z zaświatów, rozpoczął intensywną modlitwę w tej intencji. Wtedy właśnie Mama, mimo kamiennego snu, usłyszała wołanie: „Zofka! Zofka!" i uczuła potrząsanie za ramię. Otwarła oczy – nie było nikogo, ale poczuła swąd palącej się słomy. W ostatniej chwili zapobiegła katastrofie. Wierzyć, nie wierzyć? Tak jednak opowiadali, niezależnie od siebie obydwoje Rodzice.

Na końcu ósmej klasy zorganizowano nam wspaniałą, tygodniową wycieczkę do Dursztyna koło Łopusznej na Podhalu. W tej maleńkiej miejscowości odciętej od świata, bez drogi i bez prądu, za to cudnie położonej pod Tatrami, mieli swój dom rekolekcyjny i opiekowali się miejscowym kościółkiem „moi" Reformaci. Własne gospodarstwo rolne zapewniało wyśmienite, naturalne żywienie. Do tego cisza, spokój, bliskość natury i zachwycające widoki. Dochodziło się pieszo przez Krempachy od przystanku w Nowej Białej, w jedną do dwóch godzin, w zależności od wydolności piechura i ciężaru, jaki niósł. Na pobliskiej hali paliliśmy watrę góralską z oryginalną oprawą artystyczną (śpiew, gra na instrumentach, opowiastki góralskie). Ostatniego dnia obudzono nas wcześnie rano, aby zejść do Czorsztyna, a stamtąd spłynąć tratwami przełomem Dunajca przez Pieniny do Szczawnicy. Nie miałem pojęcia, że świat rzeczywiście, nie tylko na kartach książek jest taki piękny. Na zawsze zostało mi to zauroczenie. Reszta wakacji minęła błyskawicznie i pracowicie w rodzinnych pieleszach. Dobrze, gdy wypadło paść stado owiec na polanach leśnych pod Sienicznem, bo wtedy można było czytać. To jednak była praca dla młodszego rodzeństwa. Nam, starszym trzeba było iść do żniwa (próbowałem już nawet machać kosą), albo pomagać ojcu przy żywicowaniu sosen, jak przed rokiem.

Drugi rok pobytu w Wieliczce wspominam przez pryzmat ogromnej ilości przeczytanych książek. Klasztor posiadał potężną bibliotekę, zawierającą nawet stare, bezcenne inkunabuły. Byłem w niej zaledwie kilka razy. Pamiętam księgę ważącą kilkadziesiąt kilogramów i dla bezpieczeństwa przykutą łańcuchem do ściany (kto by taki ciężar wyniósł?). Niebawem zostałem wyróżniony funkcją bibliotekarza odpowiedzialnego za wydzielony z głównych zbiorów dział przeznaczony dla nas, licealistów. Obsługiwałem kolegów oraz braci zakonnych, ale nade wszystko pochłaniałem co tylko wpadło

w rękę. Głównie to były powieści historyczne, biografie, i lektury wskazane przez prof. Surówkę, wielickiego poetę, z którym mieliśmy język polski w 9-j klasie. W tym samym pomieszczeniu, tuż przy wejściu zorganizowano sklepik uczniowski, więc objąłem w zarząd i ten biznes. Czas mieliśmy wypełniony, a tu czekały fortele imć Zagłoby i szarże pułkownika Wołodyjowskiego, wymyśliliśmy więc takie malutkie latareczki, pozwalające czytać pod kołdrą po 22-j, czasem nawet do północy. Nie, nie byłem piątkowym uczniem, takich w ogóle nie było w Kolegium, ale też nie miałem ani jednego dostatecznego na świadectwie tzw. „małej matury", czyli po 9-j klasie[27].

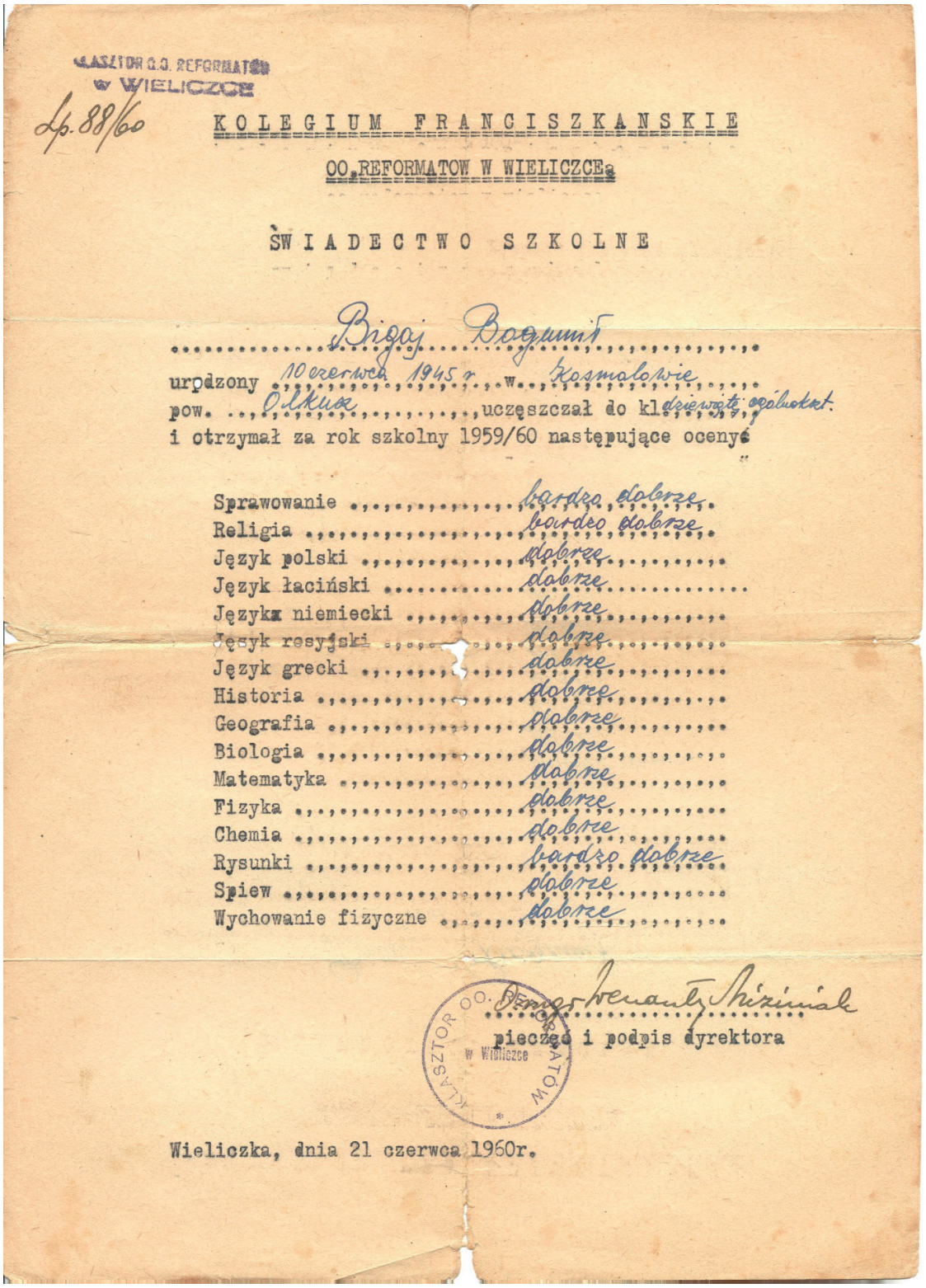

KLASZTOR O.O. REFORMATÓW
W WIELICZCE

Lp. 88/60

KOLEGIUM FRANCISZKANSKIE

OO. REFORMATOW W WIELICZCE

ŚWIADECTWO SZKOLNE

Bigaj Bogumił

urodzony 10 czerwca 1945 r. w Kosmalowie
pow. Olkusz uczęszczał do kl. dziewiątej ogólnokształ.
i otrzymał za rok szkolny 1959/60 następujące oceny:

Sprawowanie	bardzo dobrze
Religia	bardzo dobrze
Język polski	dobrze
Język łaciński	dobrze
Język niemiecki	dobrze
Język rosyjski	dobrze
Język grecki	dobrze
Historia	dobrze
Geografia	dobrze
Biologia	dobrze
Matematyka	dobrze
Fizyka	dobrze
Chemia	dobrze
Rysunki	bardzo dobrze
Śpiew	dobrze
Wychowanie fizyczne	dobrze

Wenanty Skiziuk
pieczęć i podpis dyrektora

KLASZTOR OO. REFORMATÓW w Wieliczce

Wieliczka, dnia 21 czerwca 1960r.

27 Wręczając mi świadectwo, które tu załączam (zob. ryc), o. Rektor Wenanty rzekł: „Nooo, Paniedzieju, chciałbym cię nazwać celerem, ale nie mogę, bo jest przewaga dobrych, a nie bardzo dobrych. Ale gratuluję ci".

Po wakacyjnej przerwie należało złożyć podanie o przyjęcie do nowicjatu i wyjechać do Przemyśla, gdzie przyodziewano chłopców w brązowe habity, i to był pierwszy ważny krok do stanu duchownego. Nie wszyscy złożyli takie podanie, a wśród tych odszczepieńców byłem i ja. Dzięki temu mogłem spotkać Was, drodzy olkuscy Przyjaciele, i naszą wspólną Szkołę, o czym pisałem w pierwszym rozdziale. Dzięki temu też moimi stały się **drogi, zdroża**, a nawet **manowce**, które mogę teraz opisywać. A co przez to straciłem? Oczywiście nie mogę wiedzieć, ale podejrzewam, że coś bardzo, bardzo dobrego mogło czekać i w tamtej drugiej alternatywie, wiodącej przez przemyski nowicjat. Cóż, los daje nam tylko jedną możliwość wyboru, jedną i niepowtarzalną, kiedy stawia nas na rozstaju dróg. Żadne takie rozdroże w życiu nie stanie przed nami powtórnie.

Po tej filozoficznej refleksji zapowiem tylko, że ciąg dalszy związany będzie z Miastem, też jedynym i niepowtarzalnym, albowiem w języku kosmolowian „miasto" było tylko jedno, nie Paryż, Warszawa, Kraków, tylko to, które nazywają niektórzy Olkuszem. I tak to po Kielcach i Wieliczce przyszło mi kontynuować kształcenie po prostu w mieście, w Naszym Mieście.

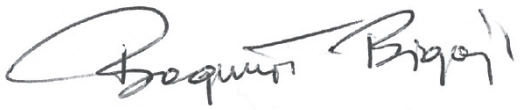

Druga część artykułu ukaże się w 20 numerze Olkuskich Zeszytów Historycznych.

Giulio Cesare